





WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom trzydziesty szósty.



RESURRECTURI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1884.

Доволено Цензурою
Варшава, 25 Января 1884 года



I.

Jednego wieczora, gdy Cesia czytała starościnie „Drogę do życia pobożnego,” kroki śpieszne dały się słyszeć w przedpokoju. Piotrusia otworzyła drzwi. wejrzała przestraszona. dając jakieś znaki niezrozumiałe. wpuściła do pokoju śpiesznie wchodzącego słusznego. średnich lat. pięknego jeszcze i wiedzącego o tem że był pięknym. mężczyznę, który prawie biegiem, z ucznkiem trochę teatralnie się objawiającem. podbiegł do starościny, witającej go ze wzruszeniem istotnem, otwartemi rękami.

Dziwne wrażenie czynił ten gość czegoś nie-szczerego, wymuszonego. Gorączka i żywość jaką objawiał. niepokoiła raczej, niż się udzielała drugim. Mógł mieć lat czterdzieści z górą. ale słicznie był zachowany na swój wiek, twarz miał pełną. rumianą, uśmiechniętą, oczy niebieskie, łzawe, usta jakieś wysłodzone, wszystkie ruchy zalotnej kobiety, które w mężczyźnie rażą niemile. Wiek mało go zmienił i nadał mu tylko trochę powagi, a łysina podwyższyła

piękne czoło. Był-to oczekiwany siostrzan pani starościny, ów złotego serca poczciwy Bolek, jeden z najpopularniejszych w obywatelstwie i najpowszechniej miłowanych ludzi.

Wpadłszy przezedrzwi. nie przeszedł. ale rzucił się ku staroście, przypadając do rąk jej i nóg. które ścisnąć namiętnie zaczął. Staruszką się rozplakała. całując go w głowę. Cesia, która go sobie ledwie przypomnieć mogła. wstała przygotowana do powitania jak z obcym; ale marszałek zwrócił się ku niej z serdecznym impetem długo powściąganej miłości braterskiej. rozpluwając się w czułościach, komplementach i oświadczeniach.

— A! jakże ta zawsze śliczna Cesia cudownie nam rozkwitła, jakże bosko piękna i jakże szczęśliwy jestem. że mogę ją nareszcie widzieć. ja. co tak byłem ujrzyć ją spragniony!.. Ale ciocia nie uwierzy doprawdy. co ja mam na głowie. Najprzód te drogie. kochane dzieci, potem to urzędowanie i obowiązki obywatelskie... nieustanne wymagania moich poczciwych. kochanych powierników... Ani chwili spoczynku, nigdy dnia wolnego... Ale powiedziałem sobie. bądź co bądź i niech się stanie co chce, pojedę paść do nówek cioci do Zawiechowa. Tak byłem spragniony, stęskniony...

Usta mu się nie zamykały. a oczyma ciągle mierzył Cesię, która, pomimo bliskiego pokrewieństwa. uczuła się w końcu tem zmieszana.

W głosie. w mowie. w ruchach marszałka było coś tak dziwnie nadrobionego. wysiłonego. że chciało mu się ciągle powiedzieć: — Ale nie męcz-że się i daj pokój tej komedyi.

Cesia, której prawy charakter brzydził się wszelkiem udawaniem i przesadą, dozuwała przykrego uczucia, jak gdy się człowiek za kogoś wstydić jest zmuszony.

Marszałek znać był tak nawykły do podobnego tonu i sposobu obchodzenia się z ludźmi, iż nie pocznwał się nawet do tego, że mógł być śmiesznym dla drugih.

Siadł wreszcie, z Cesi nie spuszczając oka, poprawiwszy nieco podróżne ubranie, aż nadto wykwintne. Był to jeden z tych ludzi, których elegancja lubi błyskotki. Ręce miał ślicznych pierścieni pełne, zegarek uczepiony arcydziełem jubilerskiego kunsztu, szpilkę wielkiej ceny, guziki od koszuli rozmiaru małych talerzyków deserowych. Oczy szukał zwierciadła po salonie, ale jedyne nad kominem nie odbijało nic wcale... nspione będąc oddawał.

Cecylia od pierwszego kroku i słowa miała już dostateczne pojęcie o tym człowieku, którego znajomość nie wymagała studyów głębszych—objawiał się odrazu, jakim go natura na świat wydała.

— Z jakim ja niewymownem uczuciem zawsze witam Zawiechów — odezwał się, przyciskając do piersi z gracyą kapelusz podróżny — ach, tego wysłowieć nie mogę... Na widok kościołka, pałacn... lzy na powiekach poczułem.

— Poczciwe, złote serce — mrnczała roztkliwiona staroscina.

— Tym razem wzruszenie moje było jeszcze większe niż kiedykolwiek, mówił dalej, bom już wiedział, że poznam drogą kuzyneczkę, którą tak pragnąłem bliżej, lepiej ocenić, tyle o niej słysząc.

Cecylia oczy spuściła.

— Sześć lat niebytności...

— Tak, sześć lat, które mnie się wiekiem wydały — odezwała się, wzdychając staruszka.

— A mnie przy pracy, mimo tęsknoty, zbiegły tak żywo — wtrąciła Cecylia.

— Kuzynka była za granicą? spytał marszałek.

— Przez całe lat dwa podróżowaliśmy z państwem S... Zwiedziłam z nimi Włochy, Szwajcaryą, Niemcy. Paryż i Londyn — poczęła Cecylia, chcąc prostą opowieścią ostudzić nieco rozmowę.

— Prawdziwa opieka Boża nad sierotą — rzekła starościna.

— Jakże się to po tem kuzyneczce nasz kraj wyda? spytał marszałek.

— O! jak swój. jak rodzony. jak ten do którego się nawet pod neapolitańskim niebem tęskniło.

Rozmowa, w ciągu której ani na chwilę marszałek nie spuścił z oka pięknej kuzynki, co ją niezmiernie mieszało, trwała jeszcze chwilę, aż nadjechali Henrys i Julek. do których z wezbraną nową czułością porwał się marszałek.

— Te kochane moje chłopaki!...

Ściskając, mało ich nie podusił. Szczęśliwy był, rozłzawiony niemal... nie mógł wyrazić co czuł, a starościna unosiła się ciągle nad sercem tego pocziwego Bolka.

Gdy się to działo w salonie. naprzeciwko Piotruska, mając przyjmować gościa tak wielkiego znaczenia. ręce lamala w niepewności co i jak dać panu tak nawykłemu do wygod. Szczęściem na zapytanie starościny czyby się kawy nie napił. marszałek oświad-

czył. że ją przyjmuje, i Julek pobiegł zadysponować ten napój. który ze wszystkich najłatwiejszym był do przygotowania — śmietankę miała Piotrusia taką. że się jej wstydzić nie potrzebowała — takę postanowiła przykryć całą serwetką, aby jej nagość nie razila. Ponieważ pora była spóźnioną już. spodziewała się że może marszałek wieczery się wyrzecz, a modliła się o to aby mieszkania w pałacu nie przyjął. Lecz gdy staruszka mu je zaoferowała, a Henryk oświadczył. że pokój swój wyporządził, marszałek. chociaż już zjechał był do Szmola, od którego przyszedł pieszo. i rzeczy swoje tam rozpakować kazał. po pewnym namyśle. spojrzawszy na Cesię, przyjął gościnność ciotki.

Niewszystkim to może wypadło na rękę. ale honor był wielki. Posłano po kamerdynera. aby się przeprowadził do pałacu. Nigdy też może czulszym. serdecniejszym nie widziano marszałka. jak teraz. nigdy więcej ochoczym do rozmowy i wynnrzającym się. Szczególniej ubolewał nad brakiem dozoru u siebie w domu. nad trudnością znalezienia osoby. któraby dzieciom jego matkę mogła zastąpić. Zdawał się niesłychanie o los tych biednych robaczków troskliwym.

Pomówiwszy trochę ze starością. parą komplementami zaspokoivszy chłopców, ze szczególniejszą sympatyą zwracał się ciągle do panny Cecylii. która. choć wdzięczna za nią. tak w końcu była zmieszana i zmęczoną może. że się wyslizguęła z pokoju. Marszałek przysiadł się zaraz do starościny.

— Kochana ciociu! zawołał — cóż to za uroczne zjawisko ta nasza Cesia! jaka to dystynkeja. wdzięk. powaga!

— O, to nie jeszcze — odezwała się staruszka, ale gdybyś wiedział ile w tej główce rozumu. ile energii w tem sercu. jakie to pocziwe. dobre. poświęcające się dziecię! Bo. proszę cię. ona. której się najświetniejsze miejsca stręczyły, naprzykład u księstwa M., odrzuciła wszystko. aby tu zemną przebyć smutnie czas jakiś w tej mojej biedzie i tęsknicy. Jakie to pracowite. niezmordowane...

— Jestem prawdziwie widokiem jej zachwycony. mówił marszałek.

W tej chwili Henryk i Julek wyszli z pokoju. a gość. westchnąwszy, kończył:

— Na co jej szukać cudzych bogów? Jaby'm był najszczęśliwszy, gdybym taką opiekunkę. nauczycielkę. zyskał dla moich dzieci! O mój Boże!

Babka. trochę zdziwiona. podniosła oczy. Oboje na ten raz zamilkli. Staruszka pomyślała. że już ci dla siostrzenicy nie byłoby w tem nic ani dziwnego. ani zdrożnego: ale... żal jej było Cesi dla siebie.

Przed wieczorem marszałek się wymknął na miasto. dziękując za wieczerzę. i dopiero w godzinę do brą powrócił. Siedziano jeszcze w salonie. a gdy rozchodzić się przyszło, używając przywileju kuzyna. gość zaszedł do pokoju Cesi. Tu nastąpiły nowe uniiesienia nad mnóstwem rzeczy, z takim smakiem nłożonych. tak dobranych. i rozmowa. w której całą swęj duszy tęsknicę starał się wylać marszałek. odmalaować swe prace nienstanne dla dobra ogółu i t. p.. Henryk i Julek zaczęli poziewać i wymknęli się na górę. nie mogąc wmieszać się do rozmowy. Marszałek pozostał, rozparty w fotelu, choć godzina była późna.

choć Cesia kilka razy spoglądała na zegarek. Nieprędko, sam prawie utrzymując monologiem niewiele podsycaną rozmowę, pożegnał dosyć zakłopotaną kuzynkę, na której ręczce złożył pocałunek gorący.

Rączka ta, którą mu dosyć niechętnie podano, posłużyła jeszcze za temat do nowych uwielbień. Był i nią zachwycony, bo rzeczywiście rękę panna Cecylia miała klasycznie piękną.

Gdy się drzwi za tym złotym Bolkiem zamknęły wreszcie, biedne dziewczę odetchnęło i rzuciło się w fotel, znużone, niespokojne, z uczuciem jakiegoś niesmaku, prawie wstrętu, choć sobie wyrzucała to jak grzech.

Marszałek zwykle nie bawił w Zawiechowie dłużej nad godzin kilka. Rozliczne jego zajęcia urzędowe, niespodziane listy i t. p. zmuszały go zawsze tę najukochańszą ciocię żegnać nadzwyczaj prędko, choć mu tu dobrze było jak w raju. Zdawało się więc, że i tym razem pewnie wylew czułości dłużej nie potrwa. Piotrusia, która u starego kamerdynera miała pewną wziętość, ostrożnie poszła się dowiadywać o dzień następny, dla zorientowania się z obiadem. Pan Józef szepnął jej na ucho, iż prawdopodobnie cały dzień zabawią nazajutrz.

Rozmowa poufna między dwojgiem sług starych, co się znali jeszcze za gorętszych czasów, gdy panna Maryanna była zachwycającą subretką, a pan Józef ślicznym chłopakiem, gdy po kątach krądkło się całusy — rozmowa ta była nadzwyczaj szczerą i otwartą. Stary pan Józef śmiał się.

— Jabyśmy nie zaręczył — rzekł z cicha, żebyśmy i dłużej nie zabawili — ja go znam, mój miły Boże,

lepiej niż siebie samego. Gęba mu się nie zamykała, tak pannę Cecylię chwalił... To bałamut, jakiego świat nie widział. Wdowiec, dzieci ma, łysy, a zobaczy pani Piotruska, że będzie smalił do niej cholewki.

Kłecznicą odskoczyła oburzona, żegnając się znakiem krzyża świętego.

— Wstydź-że się oto takie herezye prawić! — odparła. — A toć krewni między sobą... niech-że Bóg uchowa!

— Eh—rzekł spokojnie Józef— po ludziach to chodzi... Ale ba! A u mojego marszałka co na placu, to nieprzyjacieli... strasznie romansowy.

— To niechby się żenił— z oburzeniem dodała Piotruska.

— A co tu pomoże ożenienie? Nieboszczka pani, świeć Panie nad jej duszą, trzymała go dobrze... a co to pomogło? Z urzędu jeździł i po wszystkich dworach panny bałamucil, że już o ekonomównach nie mówię, bo...

Tu Józef splunął, a Piotruska się namarszczyła.

— Żeby mu zaś tu coś takiego do głowy przyszło— dodała — temu nie wierzę!

— He! he! — rozśmiał się Józef — zobaczycie.

Pomimo niedowiarstwa Piotrusi, uderzyło ją to, że nazajutrz z rana marszałek, wyswieżony, wyperfumowany, przyszedł najprzód do panny Cecylii, która na widok jego poważniejszą przybrała postać niż zwykle i przywitała go bardzo chłodno.

Podczas kawy, podanej u starościny, Cesia była w ogrodzie. Bolesć dla cioci czulszym był niż kiedykolwiek, w dowód czego nawet zaległą pensyjkę jej

wypłacił i po dłuższej rozmowie oświadczył staroście, iż namysliwszy się dobrze, mógłby pannie Cecylii warunki bytu w swoim domu uczynić bardzo korzystnymi.

— Ciocia dobrodziejka nie uwierzy, co to jest na obcych się spuszczać, dzieci oddać ludziom niemającym serca, wprowadzać do domu osoby nieznane. Nieustanna troska. Ja ciągle w rozjazdach. Cesia byłaby dla nich opiekuńczym aniołem. Cóż może być stosowniejszego, jako opieka kuzynki, a dla mnie byłoby to uspokojeniem.

Mówił długo, a że staroście prawie wszystko wmówić było można, choć z razu myśl ta dziwną się jej trochę zdawała, wzięła ją do serca. Marszałek obowiązywał się powiększyć cioci swą pomoc o tysiąc złotych, pannie Cecylii płacić pięćset rubli i zostawić jej swobodę pani domu. Było to tak ponętne dla biednych ludzi, iż staruszką oprzeć się nie mogła.

— Czekaj że, proszę cię — rzekła — po południu ja z nią o tem pomówię i ani wątpię, że przyjmie.. Już spuść się na mnie: choć mi z nią rozstać się przykro, ale dla ciebie, co tyle czyniłeś dla nas...

Marszałek pośpieszył ucałować rączki i wpadł w nadzwyczaj dobry humor. Dzień dla wszystkich zszedł szybko i wesoło. Panna Cecylia mało się pokazywała. Ile razy znalazł się przy niej kuzynek, był nadzwyczaj czułym i nadskakującym.

Po obiedzie, tak jak w planie było, staroscina sama z wnuczką została.

— Moja droga Cesiuniu — rzekła po cichu — ja ci coś mam powiedzieć, tylko nie bierz tego ze złej

strony. nie tłumacz sobie oziębłości. Ja z tobą jestem o tyle szczęśliwą. o ile tylko być mogę. ale... dla ciebie otwiera się daleko piękniejsza perspektywa.

Cesia spojrzała niespokojnie.

— Ten biedny Bolek z dziećmi sobie rady dać nie może i chce zaprosić ciebie do swego domu. abys je wzięła w opiekę. Ofiaruje ci pięćset rubli. a i mnie także tysiąc złotych więcej. Będiesz u niego panią w domu... jak w raj.

Spojrzała na wnuczkę, która drżąca siedziała ze spuszczonei oczami i milczała długo.

- Cóż ty na to? zapytała staruszka.

— Byłoby to bardzo ślicznie — odpowiedziała spokojnie Cecylia — ale ja się na siłach nie czuję. Potrzebuję wypoczynku. Postanowiłam przy babce jakiś rok posiedzieć. Proszę nie wypędzajcie mnie stąd.

Głos jej drżał. Starościna uczuła się przejętą; bolesnie się jej zrobiło. Wstała i rzuciła się jej na szyję

— Cesi — kochanie! któżby cię przymuszał. — Ale mnie. przez miłość dla ciebie, zdawało się. że ci to będzie dogodnem. przyjemnem. Tys do naszego ubóstwa nie nawykła, a tam w domu dostatek.

— Babciu — mnie tu dobrze — zawołała Cesia. — Jeszcze się poznać nie dałam. ale się tu przydam... będzie nam lepiej wszystkim... Moja droga babciu. za nic. za nic w świecie! Nie nakłaniajcie mnie do tego — nie pojadę.

Stanowcza odpowiedź zamknęła usta staruszce: nie śmiała nalegać więcej, chociaż zakłopotana by-

ła. co temu poczciwemu Bolkowi odpowie. przykro jej było zawód mu uczynić, postanowiła więc zlągodzić odmowę i odłożyć na przyszłość nakłonienie Cesi.

Wkrótce zjawił się marszałek. obładowany lakociami i ciastkami. które przyniósł z miasteczka; lecz póki Cecylia była w pokoju. mówiono tylko o rzeczach obojętnych. Staroscina umyślnie jej powierzyła cós, aby się mogła z Bolkiem rozmówić. Z twarzą jej domyślał się już nienazbyt pomysłnej odpowiedzi.

— A cóż? — spytał. przysiadając się — mówiła ciocia z Cesią?

— Trochę odparła staroscina — ale z nią obcesowo nie można. Ja ją znam... Daj mi czas. ja powoli ją do tego skłonię. Mysłę. że możeby wypadało, abys ją i chłopców na jaki tydzień zaprosił. Zobaczyłaby dzieci. poznałaby dom...

— Ale bardzo chętnie... — zawołał marszałek.

— Tylko powoli. powoli — przerwała staroscina — nie nagle, nie gorączkuj się. My to zrobimy. zobaczysz.

Marszałek pocałował ją w rękę. Wchodząca Cesia. która się domysliła treści rozmowy w czasie niebytności swojej. znalazła kuzynka w nadspodziewanie dobrym humorze i odetchnęła swobodniej. Przysiadł się do niej marszałek ze zwykłej treści opowiadaniem o sobie, gdyż skutkiem nałogu. o kim i o czem innem jak o sobie mówić nie umiał. Panna Cecylia była trochę weselszą i ostrożnie żartowała sobie z niego. Przybywający też chłopcy ożywili towarzystwo, szczególnie Julek. bo Henryś był ciągle

smutny, zatopiony w sobie i niespokojny. Cesia na próżno usiłowała go z tego usposobienia wyprowadzić. Cóż mu na sercu i duszy ciążyło.

Spodziewali się wszyscy że marszałek, dla którego czas był tak drogi, wieczorem pożegna ciocię i nazajutrz z powrotem do zajęć swych rządowych wyruszy. Lecz ożywiony bardzo, tak się tu jakoś dobrze znajdował przy ukochanej cioci, iż postanowi część jeszcze dnia następnego pozostać, za co mu starościna najczulej podziękowała.

— Tu przynajmniej człowiek wytchnie trochę i o wszystkich troskach zapomni. mówił Bolek — a mnie się to tak rzadko zdarza. bym sercu mógł dogodzić.

Cały wieczór najwięcej znowu mówił z kuzynką opisując jej dom swój. życie i wtrącając nieznacznie nadzieję. że ona kiedyś z braćmi zechce go może odwiedzić. czem go prawdziwie uszczęśliwi.

Panna Cecylia nic nie odpowiedziała.

— Ja konie przyszlę. rozstawię. dodał marszałek — wybiorę taki czas. żeby nam żaden obcy gość nie zamącił familijnej tej uroczystości... bo to dla mnie będzie prawdziwa feta! Panna Cecylia zobaczy mój domek. ogród. okolicę... która sądzę że jej się podobać powinna.

Julkowi bardzo się ten projekt uśmiechał: Henryk. jak zwykle. chodził posępny i zamyślony.

Tegoż wieczoru. po rozstaniu się ze starościna. odprowadzając Cesię do jej pokoju. wcisnął się do niej pan marszałek i niby od niechcenia. na chwilę zasiadł w fotelu. a pozostał z godziwą. Tematem pogadanki było jego serce. które nigdy w życiu nie zostało zrozumiane, ocenione... jego czułość. której się tyle

napróżno wylało, marzenia młodzieńcze ścigające go teraz jeszcze, pragnienie cichego szczęścia... Wzdychał, gładził łysinę, był melancholiczny, szukał oczów i wejrzenia Cesi, ale się z niemi spotkać nie mógł.

Znajdował ją dziwnie zimną i ostygłą i zapytał, czy ona marzeń podobnych nie przechodziła. Spojrzała nań w oczy surowo.

— Kochany kuzynie, rzekła — wy szczęśliwi, którym nie zbywa ani na powszednim chlebie, ani na obmyślanej przyszłości. możecie latać w obłoki za widmami marzeń... ale nam to wzbroniono. Powiedz mi, za kogobys mnie miał, gdybym patrząc na tę moję biedną, znękaną staruszkę, na dwóch braci błakających się bez celu po tym ciasnym świecie naszej parafii — sama sierota... bez jutra... rozmarzała się takimi poezjami życia?

Marszałek znieszał się nieco.

— Ale mój Boże, zawołał — to nie przeszkadza kochać, marzyć i osładzać sobie rzeczywistość idealami choć we snach. Ja ciocię także kocham bardzo, ale jej położenia, do którego nawykła nie widzę tak boleśnem. Osładza je taka miła i dobra, a przywiązana rodzina. Co się tyczy chłopców... z tych imieniem i powierzchownością, przy pocziwych sercach — można się tak bardzo o przyszłość troskać?... A kuzynka... kuzynka masz ją przed sobą jaką zechcesz, bo się o twoję rękę dobijać będą.

Cesia rozsmiała się smutnie.

— Ja, rzekła — inaczej widzę jakos to wszystko, a o sobie, wierz mi, kuzynku, najmniej myślę. Tymczasem trzeba radzić babce i braciom.

— Ale cóż kuzynka im poradzić możesz? spytał marszałek.

— Nie wiem jeszcze—odezwało się dziewczę—zobaczmy. Zakrótko tu jestem. Otwarcie tylko powiem, że dobrzy, poczcivi moi braciszkwowie próżnują.

— Ale cóż robić mają? zdumiony podchwycił z dobrą wiarą marszałek... Horyszkom nie wypada iść w służbę, ani się łąda czem zająć...

— Łada czem, byle zająć! przerwała Cesia żywo.

Marszałek zamilkł trochę.

— Im tego nie możesz mieć za złe, to przecie jest życie całej naszej młodzieży. Cóż szlachcic ma robić, jeżeli do wojska nie pójdzie? Pobawią się, polatają, pożenią potem—no, i będą gospodarowali.

Cecylia zamilkła i spojrzała na zegarek. Kuzynek, dostrzegłszy to, wstał z fotelu.

— Droga kuzynko — rzekł — mogę się pochlubić przywiązaniem do całej rodziny, ciocia oddaje mi w tem sprawiedliwość. Kocham Zawiechów cały, ale dziś jest on dla mnie droższym jeszcze niż dawniej, gdy bliżej poznał kochaną kuzynkę, dla której czuję niewysłowioną sympatyą. Ach, gdybym choć setną część jej mógł pozyskać!

Mocno zarumieniona Cesia, której rękę pochwycił i trzymał, obróciła to w żart i powiedziała co najprędzej dobranoc.

Zaledwie wyszedł, gdy Piotrusia, która bodaj podedrzwiami czatowała, wsunęła się, jakby przestraszona czemś i wzruszona.

— A co? jedzie on jutro, czy nie? Jak Boga kocham, jeszcze parę dni, to ja tu trupem padnę zawołała.

— Nie wiem: zdaje mi się że ruszy jutro po obiedzie.

— Po obiedzie! — tragicznie łamiąc ręce, z wyrazem strapienia powtórzyła Piotrusia — po obiedzie!.. A na obiad co ja mu dam? Chyba kurę. i to tę, co mi nieść zaczęła.

Uśmiechnęła się Cesia i wcisnęła jej na pociechę w dłoń kilka złotych, aby o pieczyście nie potrzebowała się frasować.

Oprócz starościu może. czuły marszałek po całych dniach mówiący o sobie. wszystkich znużył wielce. Henryk wysuwał się często. Julek ziewał. a Cecylia. z głową zwieszoną nad robotą. nie słuchała już nawet. Nie było go czem zająć i zabawić. bo go nie, oprócz niego samego. nie interesowało. Jakkolwiek parę dni spędzonych w Zawiechowie poświęcił szczególniej nawracaniu kuzyki, nie czuł żeby w tem zua-czuy postęp uczynił. lecz nie tracił znać nadziei, bo raz jeszcze prosił starościu. ażeby mu Cesię nauawiała. co ona najuroczyściej przyrzekła. Po obiedzie i kawie konie zaszły i Cecylia odetchnęła lżej, gdy po pożegnaniach najczulszych ujrzała marszałka oddalającego się nareszcie.

Nie na tem koniec był przecie. W pokoju swoim znalazła list od kuzynka. widocznie z wielkiem staraniem wystylizowany. w którym urzędownie proponował jej dom swój. opiekę nad dziećmi i klucze gospodyni domu. Rzuciwszy nań ledwie okiem, zmięła go i zasunęła między niepotrzebne papiery... ale łza zakręciła jej się w oku.

Babka wierna swojemu przyrzeczeniu. od tego wieczora. rozczuloua wielce pobytem Bolka i uczynio-

nemi przez niego ofiarami, poczęła nawracanie Cesi. Dozwalając mówić staruszce, nie sprzeciwiając się jej wcale, Cesia słuchała bardzo cierpliwie. a nagłonna pytaniami, odpowiadała tylko. że jej w Zawiecho-
wie najlepiej.

— Babcia mnie przecie nie wypędzi.

Staroscina kończyła wtedy nściskiem i milczeniem... Biedna staruszka chciałaby wszystkim dogodzić i usłużyć. nie wiedząc dobrze co radzić, a co odradzać. Namowy jej jednak niczemby były jeszcze, gdyby jakimś dziwnym sposobem Piotrusia nie dowiedziała się o projekcie, a że. mimo drwin starego Józefa. nic w tem znown zdrożnego nie widziała, wzięła więc na siebie popieranie marszałka i starosciny. W dnszy, choć kochała Cesię, zaczynała się jej obawiać i wyrozumowała sobie, że to uczyni dla jej własnego dobra. gdy w istocie trochę się jej pozbyć była rada. Panna Cecylia zaglądała po kątach, wymagała czasem jakiegoś niesłychanego porządku i czystości. a z każdym dniem nowe jakieś objawiała żądanie ulepszeń różnych, czego Piotrusia nie znosiła.

— Ale-bo—mówiła sama sobie—kiedy jej tu u nas niekoniecznie, to dla czegoż nie ma jechać do takiego domu. gdzie tylko. słyszę, ptasiego mleka braknie... bo Józef powiada, że tam zbytek. od bażantów i od kuropatw na powszedni dzień. Niechajby my sobie spokojni zostali. jak bywało... Nam tu ze wszystkim dobrze. byle nikt głowy nie mącił.

Przejęta tem przekonaniem i pewna że knzyn blizki nie może się kochać w krewnej, boćby to było obrazą Boską. Piotrusia z naiwną niezręcznością. która się jej wydawała mistrzowską sztuką, codzień pra-

wie zachwalała Cesi marszałka, jego dostatki, dom, i usiłowała obudzić w niej politowanie nad sierotkami. Niecierpliwiło to trochę pannę z początku, ale później już pozwalała jej prawie co chciała. Czasem tylko rzuciła z uśmiechem:

— Piotrusiu, ty się mnie chcesz ztąd pozbyć.

— A, jaka-bo panienka niedobra! zaraz pozbyć!
A już nie dla czyjego przecie dobra to mówię.

I na tem się kończyło.

II.

Obok drewnianego kościoła, w starych lipach trochę opodał, stało probostwo, które zajmował ksiądz kanonik, człowiek poważny, niemłody już i chory... Mało się on teraz mógł trudnić parafią, a o niewiele wprawdzie od niego młodszy, ale daleko silniejszy i zdrowszy ksiądz Kulebiaka, wikary, dźwigał cały ciężar pracy około duszyczek. Trud to był niemały, bo parafia nader rozległa i rozrzucona, nieustannego wymagała rozjazdu po małych dworzech szlacheckich; ale wikary, gdy jeden dzień w domu siedział, nudził się. Nawykł do takiego życia i stało się ono dlań potrzebą. Nie chorował nigdy, zdawał się też nie tęsknić nigdy za spoczynkiem; z jednej kałamaszki trzęsącej przesiadał się na drugą, gorszą jeszcze, i po sławnych w okolicy grobelkach kamiennych ruszał, odmawiając pacierze, do chorego, nigdy się nie skarżąc ani na nawał obowiązków, ani na znużenie.

Za probostwem osobna chata stanowiła wikaryą; sam ją sobie przed laty dwudziestu m rządził ks. Kulebiaka i obsadził, a już brzozy i akacye dokoła do-
brze ją ocieniały. Stała trochę na uboczu. miała swój
dziedzińczyk i zajazd osobny, a że wikary konie lubił
i dwa ich trzymał. miała i stajenkę u boku.

We dwa dni po wyjeździe marszałka. ks. Kule-
biaka właśnie około dziewiątej wieczorem wrócił od
chorego z Połonnego-Hruda i znużony, przekąsiwszy.
leżał spać. Wieczór był ciemny, chmurny i deszczyk
popruszał. a że w taki słotny czas, mówią ludzie, śpi
się najlepiej, po pracy zaś kamienny sen zwykle przy-
chodzi... niedziw że ks. Kulebiaka tak twardo usnął. iż
mimo ponowionego stukania w okiennicę, nic a nic nie
słyszał. Marzył tylko, iż okrutnie na dworze grzmiało.

W drugiej izdebce na tapczanie sypiał zakry-
styan Bąkiewicz, który wieczorem pijał piwo i po
niem także sen miał kapitalny; jednakże w końcu wa-
lenie w okiennicę zmusiło go zerwać się i na łokciu
sparklszy. posłuchać.

Nie było wątpliwosci: któs bez miłosierdzia
tłukł w okiennicę pokoju księdza wikarego. Bąkie-
wicz, człowiek bojaźliwy, przeżegnał się i skoczył do
drugiej izby. Wikary chrapał. a zewnątrz bębniiono
coraz żywiej i głośniej.

Zakrystyan schwycił wikarego za rękę.

— Ojczel! ojczel! zawolał—cos się stało... ktos pod
oknem wali.

Zerwał się wikary.

— Co to jest? która godzina?

— Godziny nie wiem, ale ktoś stuka.

Ksiądz Kulebiaka. choćby najmocniej spał, przebudziwszy się, natychmiast był przytomnym.

— Idź, świecę zapal i drzwi otwórz... a prędzej!

Zwinał się Bąkiewicz, kilka razy potrąciwszy w izbie sprzęty, a wikary już, przeżegnawszy się, sułannę i buty wciągał. przeczuwając iż będzie pewnie gdzieś potrzebnym.

Gdy świeca zapaloną została, a stukanie uie ustawiało, Bąkiewicz odryglował drzwi i począł wołać:

— A kto tam?

W mroku postrzegł powóz czterema końmi w poręcz zaprzężony i parę osób kręcących się koło niego. W tejże chwili mężczyzna w płaszczu, prowadząc pod rękę kobietę okrytą mantylką, zbliżył się ku drzwiom i wszedł na wikaryą.

Ksiądz Kulebiaka wychodził z alkierza w którym spał, gdy ujrzał przed sobą stojącego Henryka Horyszkę z panną Hanną Sławczyńską, spuszczałą oczy—spojrzał, ręce rozpostarł i osłupiał

— A to co? w imię Ojca i Syna? A to co się stało?

Henryk puścił rękę panuy, która obejrzała się, znalazła krzesło i padła na nie, oczy zasłaniając, a sam przystąpił żywo do księdza, wołając głosem przerywanym, zdyszany i wylekły:

— Ojcie dobrodzieju! ty który... ty co... jesteś przyjacielem naszego domu. do ciebie po ratunek przybieramy... daj nam ślub!

Ksiądz Kulebiaka aż się zachnął.

— Sfiksowałeś, czy co? bez zapowiedzi? bez pozwolenia rodzicielskiego?... Co ci jest?... z kim?...

Twarzy był nie dojrzał, bo Hanna ją osłaniała.

— Ja kocham pannę Hannę Sławczyńską. zawolał. prawie od przytomności odchodząc, Henryk:—ona mi jest wzajemną. a ojciec tyran chce ją zmusić...

Przykląkł przed księdzem. który znowu się cofnął.

— A to komedia! odparł. — Co wam jest? Cóż to będzie za ślub. *p e r d o m i n u m p s t r u m*. I asin-dziej, panie Henryku, mogłeś na to rachować, myśleć że ja taki ślub waćpanu dam, aby potem nie mówię już rekolekcyje odsiadywał... mniejsza z tem, ale na śniech się wystawił i na współnictwo takiego szalapuctwa. Co waćpanu w głowie?... gdzieś rozum podział?

Panna ciągle siedziała z zakrytemi oczyma.

— Ojcze. zaczynając go już po rękach całować i lamentując załośnie, wołał Henryś — uie gub mnie. nie gub panny. Zlitnij się! a nie dasz ślubu. to stanie się co gorszego: pojedziemy na kraj świata.

Ksiądz Kulebiaka ze smutną twarzą stał nieporuszony wcale.

— Gorszego, rzekł. trudno już aby się co stać mogło. bo to są żarty z sakramentu, mój panie Henryku Ślub. to nie śniadanko na pocztę. A godziłoż się pannę z zacnego domu namawiać, porywać, uczynić taki skandal przeciw woli rodziców? Chcesz starszskę babkę dobić, familii własnej uczynić zakalę?

— Mój ojciec—wyrwał się impetycznie Henryk—co się stało. źle czy dobrze, ale się stało. Będziesz łajał potem jak chcesz. ale w tej chwili nam ślubu trzeba. lub...

— Lub co? zapytał ks. Kulebiaka.

Panna zerwała się z siedzenia.

— Henryku! jedźmy gdzieindziej, jedźmy! Mnie strach ogarnia... jedźmy!

Ksiądz stał z załamanemi rękami.

Henryk błagał go na próżno: nie dawał się poruszyć.

— Jedźcie dokąd chcecie — rzekł — ślubu nie dam. bo nie mogę. Ślub taki nie byłby ważnym. Ale coście to uczynili... coście uczynili. dzieci nierozważne!... Henrysiu! któżby się tego po tobie spodziewał. Na rany Pańskie. może w domu nie spostrzeżono jeszcze ucieczki. Wracajcie... rzućcie się do nóg rodzicom...

Henryk. nic już nie odpowiadając. podał rękę Hannie.

— Jedźmy rzekł.

Domawiał tego wyrazu. gdy około wikaryi dał się słyszeć hałas. brzęk i głos Sławczyńskiego.

— Tu są... tu zdrajca! da mi gardło!

Panna Hanna, przestraszona. rzuciła się do al-kierza. potraciwszy księdza. a Henryk jak osłupiały pozostał. W progu już się pokazał Sławczyński stary. z kijem ogromnym w rękę, zasapany. w kapocie porozpinanej. bez chustki na szyi. Ze wściekłym wyrazem twarzy pędził za nim słuszny. mroźny chłop jak dąb. narzeczony panny, Mazurowicz. Henryk. widząc ich wprost nacierających na siebie. chwycił stołek i gotował się z nim do obrony.

Sławczyńskiemu od krzyku tchu brakło... Wołał tylko. dławiąc się:

— Jest!... jest!

Wtem, w progu już izby. słabo mu się zrobiło... uchwycił się za piersi. Ksiądz Kulebiaka. zobaczyw-

szy to. pobiegł ku niemu. a Mazurowicz jak wściekły rzucił się na Henryka.

— Ty jakiś!...

— Stój. bo łeb ci rozwalę! krzyknął Horyszko. Chcesz się bić. choćby na śmierć — dobrze: ale nie tu i nie jak parobcy.

— Bić się... tak... bić!

I sunął się Mazurowicz na niego.

— Daj mi broń! masz broń?

W dwóch kieszeniach Mazurowicza sterczały pistolety. W pierwszym impecie Horyszko rzucił się nań i wyrwał mu jeden. Stało się to w mgnieniu oka. Ksiądz Kulebiaka. trzeźwiący nawpół omdlałego Sławczyńskiego. nie miał czasu się obejrzeć ani krzyknąć. gdy już dwaj rywale zmierzyli do siebie. Rozległy się w izdebce spokojnej dwa strzały i krzyk bolesny a wrzawa... Mazurowicz stał wśród dymu. a Henryś chwycił się za piersi. potem oparł o stół i runął. zawoławszy:

— Hauna!

Z drugiego pokoju wbiegła panna Sławczyńska jak obłąkana. Ojciec. ujrzawszy ją. odzyskał przytomność i pochwycił. wołając:

— Do powozu! do domu!... Mazurowicz. pomagaj.

Mazurowicz z za kłębow dymu zobaczywszy leżącego we krwi Horyszkę. zbladł... chciał uciekać. gdy głos ojca zahuczał:

— Ma na co zarobił. Do powozu i do domu!

Oprzytomniał dopiero narzeczony i chociaż panna odtrąciła go ze wstrętem. tuląc się sama do ojca. poszedł za nią i za Sławczyńskim.

Wikary już klęczał na ziemi przy ranionym. usiłując dojrzeć rany. łamiąc ręce i niebardzo wiedząc co począć. Wrzawa. przed chwilą ogromna. nagle ucichła. powozy potoczyły się od wikaryi. ale z drugiej strony od probostwa i miasteczka, poprzebudzeni strzałami. nadbiegli ludzie, sądząc że rozbójnicy napadli księdza Kulebiakę.

Kto wszedł na próg i zobaczył leżącego na ziemi. osłupiał. nie mogąc zrozumieć co się stało. a Bąkiewicz. ze strachu i obłędu jakiegoś, mówić i tłumaczyć się nie mógł.

— Kto w Boga wierzy po cyrulika. a prędzej! — wołał wikary. — Krew upływa, a ja ratować nie umiem.

Chłopiec z probostwa skoczył do miasteczka: tymczasem ksiądz z zakrystyanem wzięli powoli biednego omdlałego Henryka i złożyli go ostrożnie na łóżku. Krew, którą chustami starano się tamować buchała: chłopak był blady jak trup i bezprzytomny. Bliżej oglądając. ksiądz mógł się przekonać. iż kula nie tknęła szczęściem piersi. ale rozszarpała prawą nogę.

Wikary ze łzami w oczach stał nad łóżkiem, modląc się i czekając na ratunek. Wnet też, opamiętawszy się nieco. ludzi tłoczących się odprawił z tem. że przypadek się stał. o którym niema co gadać wiele.

— Idźcie spać. kto ratować nie może. i żeby z tego paplaniny nie było. Z Bogiem!.. z Bogiem!...

Pozamykano drzwi i cicho znowu zrobiło się na wikaryi; tylko konie Henryka stały z woźnicą przed

domem; zatrzymać je trzeba było, aby chorego odwieźć, lub się niemi w potrzebie posłużyć.

Wiekem się wydawało oczekiwanie. dopóki obudzony felczer nie przybiegł. błady i wystraszony. Wzięto się do rozcinania sukni i sznkania kuli. ale na to cyrulik nie starczył... trzeba było konie z kartką wyprawić do doktora. Nowa zwłoka nastąpiła; lecz żydek przynajmniej krew zatamował nieco. a Henryś przyszedł do przytomności na chwilę. Rzucił oczyma dokoła, zobaczył obce twarze. uczuł płynącą krew ciepłą i omdlał znown.

Doktor Hordziszewski nie należał do przyjaciół pałacu w Zawiechowie. Rodzina upadła wcale dlań nrokn nie miała: młodych chłopców bardzo prozaicznie nazywał trutniami. a ile razy kto nad losem ich się nżałał krótko i wężłowato mówił:

— Sami sobie winni... dobrze im tak.

W ogólności. sam podobno będąc synem kowala. człek prostej kondycyi. jak n nas mawiano. szlachty i panów nie lubił. Do starości. gdy parę razy zachorował, dał się wziąć i radził jej a pilnował; ale w czynności żadne nie wpadał i szczególnych nie okazywał sympatyj. Pomimo to nie wątpił ksiądz Knlebiaka, iż w takim wypadku pomocy swej nie odmówi. Jakoż w pół godziny wszedł chłodny i poważny Hordziszewski, pytając:

— Cóż to się tam stało, mój księże?

— Jest tu ranny Horyszko, który pomocy waszej potrzebuje. — tyle tylko mogę powiedzieć.

— A ja też nieciekawy tak dalece. więcej wiedzieć nie potrzebuję — odeszwał się Hordziszewski. idąc do alkierza, w którym na łóżku leżał omdlały Henryk.

a przy nim stali cyrulik i Bąkiewicz. Doktor, zdaleka dojrzaawszy twarzy, ramionami ruszył.

— Wody ciepłej, gąbki i czego potrzeba — odezwał się do cyrulika, zrzucając surdut i przystępując do łóżka.

Odkryto poszarpaną nogę. Kula w niej tkwiła... trzeba było sondę zapuszczać i dobywać ją. Ból ocucił chorego; ale Hordziszewski, wcale na nic i na nikogo nie zważając, widział tylko ranę i nią się zajmował. Nie była ona niebezpieczną, ale bolesną i długiego starania wymagającą. Z położenia kuli, która się o kość ośliznęła, trudno było zaręczyć, czy jej nie naruszyła. Henryk syknął kilka razy, lecz zniósł opatrywanie cierpliwie... więcej daleko bolały go nie-szczęśliwe następstwa tego szalonego kroku na który się ważył, wrażenie jakie to uczyni na babce i na siostrze, w sąsiedztwie wreszcie. W głowie mu się mąciło. Hordziszewski dokonał co było potrzeba z zimną krwią, sobie właściwą. Nie cierpiał pieśszcot niemiezkich i był dla wydelikaconych nielitościwym szydercą, ale poczcziwe serce ludzkie biło w tej piersi, szorstką skórą pokrytej. Podobalo mu się to, że Henryk miał mężtwo... Obmywszy ręce, zbliżył się i siadł przy nim.

— Panie Henryku — rzekł — wiesz, że ja bałamuctwa żadnego i komedyanctwa nie lubię, w sentymentalizmy się nie wdaję, ale gdzie radzić trzeba — robię co mogę.

Skinął na wikarego, który stal w ciągu całej operacyi ze złożonemi rękami na uboczu i modlił się pocichu — a cyrulika i Bąkiewicza, dając znak ręką, odprawił.

— Nie potrzebujecie mi mówić co się stało... — zaczął. — Domyslałam się, że sprawa pewnie z Mazurówcem o pannę. Co się stało. na to już rady niema. Starnszkę trzeba oszczędzić... Cóż tu począć? Czy lepiej go tu na wikaryi zostawić. czy pocichu odnieść do pałacu?... czy dać znać i komu?

Henryk słuchał milczący. jakby już woli swej nie miał. Wikary ręce łamał.

— Bóg widzi — zawołał — zgłupiałem. nic nie poradzę! — Pochwycił się za głowę. — Biedna starościna!.. a w sąsiedztwie, w domu Sławczyńskich. co za skandal. co za nieszczęście!

Doktor nsta wykrzywił.

— Jeśli mogę prosić — odezwał się Henryś słabym głosem — niechby Julkowi kto dał znać i przyprowadził go tu.

— Julek dobry chłopiec — rzekł wikary — ale ja powiem szczerze. siostra ma od was wszystkich więcej energii i doświadczenia. Potrzeba dać znać siostrze.

Henryk nie odpowiedział nic. Hordziszewski wstał i podał mu rękę.

— Pokawęczysz trochę. panie Henryku, ale będziesz zdrow. W najgorszym razie, jak Byron. trochę kuleć możesz na nogę. Ja cię dopilnuję. A gdzież mam szukać?

— Jeśli łaska. to w pałacu na górze.

— Dobrze. bo to trzeba gorączki dopilnować. Z przeniesieniem należy nocą pośpieszyć. aby ludzie się nie zbiegali; na materacu łatwo się to da wykonać, a cyrulik dopilnuje.

I z wikarym wyszedł napozór zimny doktor do pierwszej izby.

Ks. Kulebiaka namyslał się.

— Tu nie ma co — rzekł — posyłać kogo. Ja muszę iść sam. I wziął za czapkę... Cyrulik z Bąkiewiczem niech przysposobią nosze.

W sieniach zakrystyan zbliżył się do ucha wikaryuszowi.

— Proszę ks. wikarego... — rzekł — są tu nosze, na których trumny i umarłych noszą; ale to może się nie godzi.

Hordziszewski się rozśmiał.

— Niechże temu drzewa kawalkowi, co służy umarłym, raz się trafi oddać żywemu posługę, — zawołał. — Dajcie pokój zabobonom i daremnym strachom, byle ulgę uczynić choremu.

Ks. Kulebiaka, który to miał za jakąś wieszczbę złowrogą, zawahał się i głowę spuścił.

— Nie bądźcie dziećmi — rzekł doktor. — Jemu nie mówcie na czem go niesiecie, aby to wrażenia nie zrobiło; ale cóż mu to drzewo zaszkodzi?

Wikary przeżegnał się milczący i ruszył wprost do dworu. Z rachuby jego wypadło dostać się jakim sposobem do pałacu, kobiet nie strasząc. Lecz jak to było wykonać? Jedne drzwi wchodowe prowadziły do pałacu z dziedzińca, drugie wrota ciężkie i furtka z zajazdem na stajenne podwórze. Ten ksiądz spodziewał się dobudzić Andruszki... Konie, które Henryka z pauną przywiozły, były pożyczone w sąsiedztwie, i te zaraz po katastrofie odprawiono.

Zaczynało się na wczesny wiosenny brzask zabierać, gdy ks. Kulebiaka stanął u wrót zamkniętych.

W pałacu wszystko spało... ani dzwonka nie było ani stukać nie wypadało. Pocziwy wikary nie wahał się, trochę dalej odszedłszy, gdzie parkan był popsuty, przeleźć go i tym sposobem dostać się na stajenne podwórko. Szczęściem dla gorąca Andruszka spał na derkach w podwórzu. Gdy go ksiądz zbudził, nie mógł zrozumieć co się stało, ale posłuszny zerwał się i poprowadził go na górę. Starali się iść jaknajciszej, lecz innych schodów nie było jak główne, a ogromna sień pałacowa odbijała tak najmniejsze poruszenie, iż ciężki chód ks. wikarego rozległ się w niej zdradziecko. Piotruska, która wisusa Andruszkę posądziała o nocne wycieczki, usłyszała to i okrywszy się chustką, wybiegła. Miała nocną lampkę w rękę i postrzegła zaraz ks. Kulebiakę. Strach ją ogarnął, tak, że w miejscu wryta pozostała. Opóźnienie Henryka z powrotem, okoliczność ta, iż Julek mu nie towarzyszył, pewne podejrzenia i przeczucia, strwożyły biedną klucznicę. Ksiądz nie byłby pewnie wybrał jej za pośredniczkę, ale zobaczywszy, że wstała, szedł ze schodów.

— Przeżegnaj się acani — rzekł do niej — zmów zdrowaśkę i żebyś mi tu lamentów żadnych nie czyniła. Pan Henryk chciał wykraść Hannę Sławczyńską i został postrzelony. Nic mu nie będzie, ale odchoruje. Trzeba drzwi otworzyć i pocichu wniesć go na górę.

Wikary tą wiadomością jak młotem uderzył biedną kobietę, która padła na kolana, zakrywając oczy.

— Moja kochana Piotruska — tu nie czas na łzy i narzekania. Będziecie plakali później; teraz proszę o posłuszeństwo i ciche zachowanie się!

Jak obłąkana zwlokła się w istocie posłuszna stara; ale łyzy ciekły, dyszała i usta krzywiły się, wstrzymywane od wybuchu. Zaczęła szukać. sama nie wiedząc czego ani gdzie... Szło jej o klucz. lecz pochwyciła kilka rzeczy niepotrzebnych i rzuciła. nim się opamiętała.

Andruszka. który posłyszał, że jego kochany panicz był ranny. do ściany się zawrócił. ręce na niej sparł i zaryczał z bólu i żałości.

— Cicho. chłopcze—na miłość Bożą. cicho!

Klucz się znalazł nareszcie: poszli więc drzwi otworzyć, a Andruszka wybiegł przeciwko niosącym Henryka.

We drzwiach stała Piotruska i zasłoniwszy usta chustką, zanosila się od płaczu. Godzina była jeszcze tak ranna. że ruchu w domu nie mogła usprawiedliwić. Pomimo największego starania o cichosć. gdy przyszło tragi szerokie wnosić. drugą połowę drzwi. zwykle nieporuszanych i zardzewiałych. odmykać. na schody się drapać. szmer powstał taki. iż w pokoju panny Cecylii. na dole od sieni. nie można go było nie posłyszeć. Dziewczę się obudziło. gdy drzwi odmykano... zaczęło się przysłuchiwać bacznie. pochwyciło głosy. rozpoznało. że były obce i trwoga ją jakaś ogarnęła. Dość długo już była w domu. aby być pewną. iż to ranne chodzenie było czemś niezwyčajnem.

Sama nie wiedząc dobrze co czyni. pana Cecylia wyskoczyła z łóżka i poczęła się przyodziewać jak mogła najprędzej. Narzuciła na siebie szlafrok i szal i otwarła drzwi. W szarym brzasku poranka. który wpadał otwartym szeroko gankiem. mogła dojrzeć

nosze, mozolnie i powoli podnoszone na schody. Za niemi szedł ks. Kulebiaka. Rzuciła się ku niemu.

— Ojcze! co się stało?

— Nic, moje dziecko! nic! Męztwa i spokojności. Henryk ranny — niebezpieczeństwa nie ma... cicho!

Cesia spała się o ścianę, zbladła i potrzebowała chwili jakaś spocząć, dla zebrania myśli. Ale to krótko trwało. Uzbrojona w męstwo, które usiłowała zawsze wyrabiać w sobie, posunęła się krokiem odważnym za noszami. Nie wiedziała nic; zdało jej się, że albo nieostrożne obejście się z bronią, albo wypadek na polowaniu mógł być rany przyczyną. Nie domyślała się, nie chciała przypuścić żadnego dramatu.

Z wielką trudnością wniesiono Henryka na górę. Wygodne owe nosze, na których trumny zwykle dźwigano, potrzebowały szerokich drzwi cementarnych i koscielnych; musiano więc dawno niezatknięte odrygłować. Gdy w salonie poczęto się z niemi mordować, wybiegł Julian... ledwie coś na siebie narzuciwszy. Bracia, wychowani razem, nawykli do siebie. Charakterów dosyć różnych, byle wzajem dopełniały, kochali się najczulej. Julek, któremu nikt nic nie mówił, przecuciem przypadł do leżącego na noszach brata i położył mu się szlochając na piersi. Zbroczone chusty, blada twarz Henrysia mówiły wiele... Nikt ust nie śmiał otworzyć...

— Ja powinienem umrzeć. Julku... odebrali mi moję Hannę... strzelił do mnie Mazurowicz.

I omdlał.

— Ja go zabiję! — mruknął Julian ponuro.

Gdy się to działo z rannym, ks. Kulebiaka odprowadził pannę Cecylię o parę kroków i wszystko jej opowiedział.

Sluchala blada. ze spuszczonei oczyma i drzala. Nie odezwała się długo, a gdy otworzyła usta, szepnęła tylko:

— Babka... i podniosła oczy na wikarego.

— Nie jestem nigdy i w żadnym razie za kłamstwem — odezwał się ksiądz — lecz zdaje mi się, że i Bóg rozgrzeszy nas. gdy przed staruszką złożemy ranę na nieostrożnie pochwyconą strzelbę. Zabilaby ją może prawda cala... a cóż jej ona pomoże? Całkiem zaś utaić wypadku niepodobna. bo spyta o Henryka i gorszego się domyślać gotowa niż jest.

— Dobrze. mój ojciec — odezwała się Cesia — ale oznajmić to wszystkim należy. aby się kto nie wygadał.

I postąpiła do Henryka, który już leżał na łóżku swoim, a przy niem stali płacząca Piotruska, Julek w gorączce gniewu i Andruszka. który pięści zaciskał ze złości na Mazurowicza.

Cesia wstrzymała ks. Kulebiakę. Zaczynało dnieć dobrze. Staroscina jak wszystkie osoby w wieku wstawala bardzo rano: należało więc obmyśleć jak jej powiedzieć to. czego przed nią ukryć nie było podobna. Ksiądz byl najlepszym posrednikiem, bo staruszka jego energicznemu charakterowi dawala pannaować nad sobą.

Uściskawszy dłoń Henryka i szepnąwszy mu jedno słowo: „mężtwo!” — Cesia zbiegła, ubrać się co najprędzej. Pokój jej od sypialni starosciny drzwi tylko i sciana dzielily. Gdy weszła, usłyszała, że już

staruszka chodzi po swoim i odmawia pacierze. Skrzyknięcie drzwi u Cecylii zaniepokoiło ją; uchyliła swoje i zajrzała

— Cóż to. ty nie spisz?

Nie wiedząc co odpowiedzieć. wnuczka złożyła wczesne przebudzenie się na piękny ranek wiosenny. chociaż chmurno było i dżdżysto. ale starościna przez swe okna mało co widzieć mogła.

— Ty się. kochanie moje. niepotrzebnie tak zrywasz rano. Młodość snu potrzebuje.

I drzwi zamknęła znown.

Dzień coraz się robił jasniejszy. Piotrusia, przechodząca zawsze rano do starościny, nie śmiała się jej teraz pokazać, bo oczy miała nabrzękłe i od płaczu jeszcze wstrzymać się nie mogła. Staruszka zadzwoniła na nią przezedrzwi. Nie było sposobu... Trzy razy szła i zawracała się klucznica, nie chcąc być pierwszą. a tymczasem Cecylia uzbroiła się w męstwo i poważnie weszła do sypialni. Staruszka siedziała w fotelu. Przyklękła przed nią.

— Babciu droga—rzekła—przyszłam cię zmartwić. Mała-to rzecz, ale ci będzie przykrą. Henryczek miał na polowaniu przypadek..

Na te słowa babka zaczęła drżeć i oczy sobie zasłoniła.

— Ranny lekko. Był doktor. opatrzył go i niema najmniejszego niebezpieczeństwa.

Domawiała tych słów. gdy Piotruska sama nie chcąc wejść, wprowadziła wikarego.

A! i wy tu, mój ojcze, łkając—zawołała babka.— Mój Henryś. moje najdroższe dziecko... ranny?... Gdzież on? tu?

I zerwała się z krzesła.

— Piotrusiu! Cesi! podajcie mi ręce. prowadźcie mnie, prowadźcie—ja go widzieć muszę!

Spojrzawszy po sobie, przytomni nie śmieli się oprzeć temu żądaniu. Cesia wzięła starośćinę pod jedno ramię. Piotruska pod drugie i z wolna zaczęły ją ku schodom prowadzić. Szła milcząca, a że nawykła była modlić się zawsze, szeptała machinalnie modlitwę, której ani dokończyć, ani się z nią połapać nie mogła.

Pochód-to był milczeniem straszny, a staruszka której sił brakło, kilka razy na schodach zatrzymywać się musiała, aby odetchnąć nieco.

Gdy weszli do pokoju Henryka, przy którym klęczał Julek, chory podniósł się na rękę. Cesia dała mu znak: zrozumiał obowiązek. Uśmiech bolesny przebiegł mu usta i rzekł szybko słabym głosem:

— Babciu, to nic... Drasnęła mi tylko kula trochę... skórę... Niech babcia będzie spokojna.

Ale wtem siły go opuściły i błądy pochylił się na poduszki.

Starościna usiadła, nie mówiąc nic, i płakała. Milczeli wszyscy... Aż po chwili, gdy się Henryk ocucił i coś przebąknął, gdy wszyscy już nie wiedzieli co począć, aby staruszce oszczędzić smutnego widoku, ks. Kulebiaka zbliżył się do jej ucha i oświadczył, że choremu doktor nakazał spoczynek i że go z Julkiem samego wypadła zostawić.

Posłuszna starościna pocałowała go w głowę błogosławiąc i oblewając łzami, wstała i zrezygnowana dała się nazad prowadzić. Krótki ten przeciąg czasu tak ją jednak osłabił, iż zaledwie do salonu swego

doprowadzona. w krześle osunęła się i niemal omdlała. Cesia i Piotruska zajęły się trzeźwieniem, cuceniem, a klucznica. wierząca w wielką potęgę kawy. zmusiła staruszkę do wypicia jej kilku kropel. Ks. Kulebiaka musiał spieszyć do domu.

Tak rozpoczął się ten dzień fatalny dla dworu w Zawiechowie, który miał za sobą wiele i różnych następstw pociągnąć. Julek, który pozostał przy bra cie, nie chcąc go odstąpić na chwilę. tak dalece nie był wtajemniczony w całą tę nieszczęśliwą sprawę, że wiedząc o miłości Henryka i o jego wycieczkach ku Błotkowu. wcale się nie domyslał, jak daleko zaszły stosunki. Henryk mu dopiero teraz szepnął nieporządnie opowiadając. jak się to stało.

W istocie вина jego mniejszą może była. niż się na oko zdawało. Matka. *de domo* Motowidłowska. nie chciała na żaden sposób wydać córki za Mazurowicza. do którego. choć był bogaty, krewni jacyś w kapotach. a nawet w siermięgach, jak słyszeć było, przyjeżdżali. Henrys bardzo się pannie podobał. a panna była płocha i oprócz niego podobało się jej wielu. Ojciec bronił Horyszkowi przystępu do domu. ale matka ułatwiała widzenia się z córką i opiekowała się tym romanssem. Ona-to poddała myśl wykradzenia, a Henryk nie wątpił. iż dobry. kochający ich ks. Kulebiaka da się do ślubu namówić. We dworze błotkowskim ścierały się ze sobą wpływy pani i pana; ona i on mieli swych zauszniaków i szpiegów. Pomimo ujaw- większego starania o utajenie przygotowań, w chwili prawie gdy Henryk pannę z domu przez ogród wypro- wadzał, ludzie podpatrzyli to i panu donieśli. Mazu- rowicz tego wieczora nocował właśnie we dworze.

Stary, rozwścieczony, kazał mu jechać ze sobą i w po-
goni się rzucili, gdy tylko konie zaprządz zostało.
Widzieliśmy tragiczny koniec tego wypadku. Skut-
ków jego niepodobna było obrachować.

Nazajutrz, przez ludzi z probostwa i z miastecz-
ka, przez zakrystyana, którego zaprowadzono na pi-
wo, w miasteczku wiedziano wszystko. Nie mogło się
to utaić i dlatego, że odebrawszy córkę, stary Sław-
czyński, który się uczuł słabym z gniewu, potrzebował
wypocząć. Zajechał więc, wprowadzając nie do Szmula,
gdzie się najwięcej osób zbierało, tylko do Morthela
dziegciarza... ale i tu ludzie rozbębnił całą historią
i dostrzeżono płaczącą pannę, słyszano gniewne wy-
krzykiwania Sławczyńskiego.

Sądy ludzkie różne były, więcej się jednak lito-
wano nad Henrykiem, niż nad ojcem i Mazurowiczem,
który przyjaciół nie miał. Śmiano się i zakładano,
czy narzeczony kradzioną pannę porzuci, czy się z nią
ożeni — czy panna Hanna oprze się zaslubinom, czy
na nie zezwoli. Mała miejscina, której pokarm tak
osolony i pieprzony rzadko się przytrafiał, przez cały
dzień uspokoić się nie mogła. Na rynku stawiali ludzie
kupkami i niestworzone prawili rzeczy. Utrzymywali
niektórzy, iż Henryk był tak niebezpiecznie postrze-
lony, że wyżyć nie może; iż babka, dowiedziawszy
się o tem, mocno na zdrowiu zapadła; że miłość ta za-
pewne dwie weźnie ofiary... Najmniej zdawało się to
obchodzić starego Sławczyńskiego, który tak pragnął
zemsty, iż gotówby był pałac w Zawiechowie na czte-
ry rogi podpalić i wszystkich jego mieszkańców ra-
zem z nim z dymem puścić.

— Paskudne gniazdo! wołał — bodaj do nogi wyginęli.

Doktor Hordziszewski, choć, jak mówiliśmy, nie miał dla biednej rodziny szczególnego nabożeństwa, dał dowód nadzwyczajnej gorliwości. Przyszedł zaraz zrana opatrzeć znowu chorego. Przy łóżku jego zastał pannę Cycylią. Pierwszy to raz widział ją po latach wielu. Miała czas odzyskać przytomność, panowanie nad sobą i z energią wzięła się do czynu, dzieląc troskliwość swą pomiędzy babkę i brata.

Krótką rozmową ze starym doktorem, który w niej spodziewał się znaleźć płochą i roztrzępaną dziewczeczkę, a spotkał kobietę wykształconą, odważną i dziwnie przytem piękną, co zawsze uroku dodaje — wprawiła zimnego eskulapa w zachwycenie. Słuchał, zdumiewał się i uczył takie dla niej poszanowanie, iż trochę rubasznie zaraz się jej z niego wypowiadał. Cesia uprosiła go, aby zszedł do babki i o stanie jej, który ją trwożył, naocznie się przekonał. Hordziszewski był posłusznym.

Starościna wysoce szacowała doktora, ale go nie lubiła. Był dla niej zaszorstkim, nadto ostro wypowiadał prawdy niemiłe; ale tym razem za Henryczką i staranie około niego gotowa go była po rękach całować. Hordziszewski pulsu dotknął, przypatrzył się staruszce i zalecił coś uspakajającego. sam zaś najlepsze jej dał lekarstwo, bo z uśmiechem i lekceważeniem odezwał się o ranie Henryka.

— Eh, to tam niema nic! rzekł — niech pani będzie spokojna. Wyliże się prędko. Młoda i zdrowa krew, niczem niezakażona, powietrze wiejskie, wiosna, starania siostry... prędko mn zdrowie powrócą. Życzę tyl-

ko nie martwić się i być o niego spokojną. Ja ręczę... Nawet przypadek ten nie będzie dla panicza bez korzyści. bo się trochę ustatkuje. a to dobrze.

To mówiąc. w rękę staruszkę pocałował i odszedł. Cesia zaprosiła go jeszcze do swojego pokoju. aby na wypadek i dla Henryka co zapisał i dla staruszeki. Tu chciała mu coś od siebie ofiarować. ale doktor aż się pogniewał.

— Nie wezmę! — zawołał. Staroscina dać nie ma co. a pani ze swojego ciężko zapracowanego grosza gdybyś mnie miała opłacać. udławiłbym się nim. Ja rodziny nie mam. a pieniędzy wiele nie potrzebuję — niechże usłużę tu dla miłości ludzkiej. To mi wolno i tem się obrażać nie trzeba.

Rzekł i wyszedł. nie dając już mówić ze sobą.

Na Cesię spadł teraz ciężar dozoru dwojga chorych; nie można się bowiem było ludzi. Staroscina. nawykła do biednego ale jednostajnego życia. uczuła się nagle doznanym strachem i wzruszeniem tak osłabłą. iż ku wieczorowi trzeba ją było zaprowadzić przed czasem do łóżka i — co najgorszym u niej było znakiem—zamiast długich pacierzy. zmówiła króciutkie tylko. położyła się i zasnęła zaraz. Sen. przerywany tylko jękiem i rzucaniem się. trwał całą noc bez przerwy. przeciągnął się długo na rano... i Hordziszewski. przyszedłszy rano. znalazł stan niedobrym. Semość i nudności oznaczały aż nadto wyraźnie lekki atak do głowy. a radzić na to. przy późnym wieku pacjenta — trudno. Wstała staroscina około południa. ocieężała. zapominająca się. z rodzajem gorączki... zmieniona więcej na duchu i przytomności. niż na twarzy.

Piotrusia już jej na chwilę nie odstępowała. a Cesia to siedziała przy Henryku. to zbiegała o nią się dowiedzieć. Henryk także dostał gorączki. zwykłej przy ranie, gwałtownej bardzo; ale na tę łatwiej zaradzić było... Po utracie krwi nastąpiło osłabienie. rana jednak znajdowała się, jak mówił Hordziszewski. w stanie pożądanym. Poszarpanie mięśni tylko wróżyło. że może długiego potrzebować starania.

W kilka dni potem w sąsiedztwie opowiadano sobie pocichu, iż Sławczyński stary, nie szczędząc starań, wyrobić sobie potrafił indult, a Maznrowicz nie wahał się pannie Hannie podać ręki do ołtarza. Ponieważ stary kanonik właśnie na nogi był chory, indult wyrobiony został na imię ks. Kulebiaki. Dowiedziawszy się o tem. wikary. który wcale takiego rozwiązania się nie spodziewał, stanął jak osłupiały. Sam Maznrowicz mu przywiózł indult, prosząc o przybycie do Błotkowa.

Chłopak był do zdrowego parobka, dobrze wykarmionego, podobniejszy, niż do kawalera. Wypadek zdawało się że na nim najmniejszego nie uczynił wrażenia. Ks. Kulebiaka wiedział dobrze. iż tu z uwagami występować niebardzo wypadało. gdy rodzice tak ułożyli. a panna zgadzać się musiała. wszakże po chwili zdumienia. ze szczerością swą zwykłą. zwrócił się do Maznrowicza.

— Nie moja to rzecz. ale czyś się asindziej zreflektował dobrze? zapytał.

— Albo co? odparł chłodno narzeczony.

— Panna-bo waćpana nie chciała.

— Eh co tam panna. mój ojczec... co tam panna!

U pańien przed ślubem w głowie porządku nie ma... to się zładzi.

— Ja jednakże zapowiadałam, że panny o dobrą i nieprzymuszoną wolę pytać będę wyrażnie, bo mi tak każe sumienie, gdy ja z innym widział uciekającą...

— To co? zawołał Mazurowicz. Może się i zadurzyła w tamtym; ale ja swojego pewny jestem... co komu do tego!

— A cóż to będzie za pożycie? spytał wikary.

— Takie jak i innych. Ja się tych gachów nie boję. Ten dostał dobrze w ndo, to mi się nie posunie, a na drugich też znalazłbym sposób. Panna mi się podoba, bo ładna... posag dobry, ojciec mnie lubi, to cóż ja tu mam w delikatności się bawić? Ja, choć szlachcic, człowiek jestem prosty i w romansie się nie wdaję.

Sucho i dziko rozśmiał się, kończąc. Mazurowicz, zasiadł z podziwieniem na niego popatrzył. Cóż miał mówić? Zabrał się z zakrystyanem i pojechał do Blotkowa

W progu go spotkał stary Sławczyński, paradnie wystrojony i dobrej myśli. O poprzednich wypadkach mowy nie było. Weszli do dworu, który był mieszaniną elegancyi de domo Motowidłowskich i braku gustu, jaki Sławczyńskiego odznaczał. Pani sama wyszła strojna, dumna, z miną melancholiczną, ale zrezygnowaną. Na zięcia patrzeć nie chciała. Wikary spodziewał się przy egzaminie płaczów panny; ale nad wszelkie oczekiwania znalazł ją energiczną jakos w osobliwy sposób, wyzywającą, szyderską niemal i spozierającą na przyszłego męża jak na ofiarę.

Po kilka razy pytał z naciskiem, czy nie była przymuszona. Odpowiedziała że teraz do ołtarza idzie z dobrej i nieprzymuszonej woli. Mazurowicz miał to za zwycięstwo, ojciec wesa kręcił, matka wzdychała, a wikary instynktowo czuł w tem niepocziwą chęć zemsty.

Przy ślubie panna młoda była piękną, ale straszłą: oczy jej błyskały jakby gniewem i niecierpliwością. Ślub był niby wyzwaniem do walki, a Mazurowicz, mimo pozornej siły, wyglądał zawczasu na zwyciężonego...

Wiadomość o małżeństwie tem zamknęła nsta zlosliwym, innym je otwarła. Sławczyński, aby pokazać że sobie z tego wszystkiego drwi, jeździł po sąsiedztwie i mówił o wypadku otwarcie, dodając że córkę porwano, mimo oporu, gwałtem, i że ci zubożeli Horyszkowie dla pieniędzy to zrobili.

Jakkolwiek pan marszałek Bolesław mieszkał o mil dziesięć i mocno był urzędowaniem zajęty, wpředce doniesiono mu o wszystkim. Opowiadanie niezupełnie było wiernem, przesadzonem trochę, lecz wogóle malowało wypadek i pobudki jakie były. Z Zawiachowa nikt do niego nie pisał, obcy pośpieszyli z tym przysmakiem. Dotknęło to marszałka. Rozmyślał dwa dni... chciał jechać z początku; potem obrał, że zbyt jawnie biorąc stronę familii przeciw Sławczyńskim, popularności swej mógłby zaszkodzić. Wypadało mu pozostać neutralnym, a najlepszem na to tłumaczeniem było, iż mu nie dano znać, że mógł nie wiedzieć o niczem.

Tymczasem, gdy Henryk bardzo powolnie do sił i zdrowia przychodził, starościna codziennie traciła.

Plakała. modliła się, a godzinami słowa od niej dopytać się nie było podobna.

III.

Z uwielbieniem przypatrywał się zwykle zimny, sceptyczny, szyderski Hordziszewski pannie Cecylii. Z większą prostotą i skromnością, ciszej, skryciej prawie niepodobna było spełniać obowiązków, które bez odpoczynku, bez znużenia dnie całe i często noce zajmowały. Julek przychodził jej wprawdzie w pomoc, lecz przy najlepszych chęciach niebardzo był zgrabny i trochę leniwy. Siadał przy łóżku, ręce sparsłszy na kolanach, dłonie w długie włosy wsunawszy, patrzył to w ziemię, to na brata i stękał.

Cesia miała nadzwyczaj zręcznie korzystać z okoliczności. Gdy tylko cokolwiek stan Henryka się polepszył, jednego dnia przybiegła z książką w rękę.

— Proszę was, odezwała się — a jużci też tak cały dzień siedzieć i wdychać niepodobna. Ja lubię czytać: spróbujmy; ręczę że i was to obu zajmie. Musimy się czemś przecie rozerwać.

Wybór książek w początku był tak trafny, że chłopcy, do myślenia niebardzo uawykli, za kilka dni się niem rozbudzili. Julek zażądał książki do swojego pokoju, aby ją prędzej dokończyć, a Henryk począł się dopominać o czytanie.

Z czytania rozwijała się rozmowa, nie tak czecha jak zwykle. Cecylia, która wiele podróżowała, czyta-

jąc braciom podróże, wtrącała do nich objaśnienia różnych przedmiotów. (Chłopcom się wiele zapomnianych rzeczy przypominało. Henryka szczególnie zajmowały nauki przyrodzone. Siostra przyniosła mu całą historję naturalną popularnie wyłożoną. pełną rycin. Julek wołał poezyą i historją. Jak dzieci. powoli. cierpliwie wdrażała obu do jakiegoś umysłowego zajęcia. ubolewając sama, że jako kobieta nie miała sposobności uczyć się tyle. ileby chciała.

— Mój Henrysiu. mówiła raz do brata — gdy Bóg da. że wyzdrowiejesz. jaki rok, dwa. koniecznie ci szkodę oddać przyjdzie. (Czemubys z tego nie miał korzystać i nie pojechać do jakiego uniwersytetu?

Henryk się roześmiał.

— A! to zapóźno.

— Jaktó. mając dwadzieścia parę lat, zapóźno, tobie?...

Zaczęła się śmiać i opowiadać, jak w Rzymie spotkała ambasadora hiszpańskiego, który w 60-ym roku życia dostawszy dymisyą. zmęczony. nie mając co robić, począł się czytać rysunku od kresek niemal. a że sztukę lubił i miał talent, we trzy lata malował historyczne obrazy.

— Łatwo mu to przyszło — odezwał się Henryk. bo miał z czego żyć. Ale o czemże ja. biedny. mogę pojechać do uniwersytetu. albo podróże przedsiębrać?

— O, na oszczędną podróż dla nanki — zawołała Cesia — ja ci znajdę fundusze.

Zamilkli.

Rozmowy te przerywane, a powracające zawsze do tego samego przedmiotu. wesole. łatwe... przykuwały obu braci. Marzono we troje o różnych a róż-

nych rzeczach. Julek i Henryk często bardzo uskarżali się na ubóstwo i niemożność podźwignięcia się z niego.

— Moi wy drodzy — mówiła Cecylia — gdy ja to słyszę od was to tylko sobie stanem opuszczonym naszego kraju tłumaczyć mogę. Gdzieżby to kto słyszał za granicą. żeby dwaj dobrze wychowani. roztropni. lubiący pracę chłopcy jak wy. nie znaleźli sobie kopalni, z którejby rudę złotą dobywać mogli?

— Ależ po to trzeba jechać chyba do Kalifornji.

— Nie — odparła Cecylia. Byłam w Holandyi, w Belgii. w Niemczech w Erfurcie, a że bardzo kwiatki lubię. jak wiecie, biegałam po zakładach ogrodniczych. Czy wiecie, że z takiego kawałka ziemi jak nasz, a nawet z mniejszego. w Gandawie, w Erfurcie krocie mają dochodu?

Rzucona ta myśl ntkwiła szczególnie w głowie Henryka. W parę dni spytał siostry. czyby też i u nas z kwiatków co zrobić można!

— Z kwiatków, z drzew. ze szkółek. z nasion — u nas. gdzie tego wszystkiego brak, niemałe, zdaje mi się, ciągnąćby można korzyści.

Julek się śmiał, ale począł marzyć zaraz.

— Wiecie — dodała Cesia — ja od babci mam pozwolenie; pisałam już za granicę o ogrodnika i sama się do tego biorę.

— A pieniądze? — zapytał Henryk.

— Na to pieniądze mam, zapracowałam ich trochę. Nie oddałabym na lada co; ale założyć. stworzyć coś i na naszych dwóch włókach dorobić się czegoś... to mi się uśmiecha.

Bracia poczęli z niej szydzić.

— O bo ty Cesi marzycielka jesteś, poetka. a kraju nie znasz.

— Może być, może — odpowiedziała — przekonamy się.

Choroba Henryka. ze względu wpływu jaki siostrze dozwalała wywierać na braci. była prawie szczęśliwym wypadkiem; ale on cierpiał mocno. a przecięte ścięgna niepokoiły Hordziszewskiego. Przeczuwał. że noga sztywną zostanie.

— O. to mi wszystko jedno — mówił Henryk. Cóż mi tam! Pięknym i zręcznym być nie potrzebuję.

I wdychał—bo pocziwy chłopak kochał w istocie Hannę pierwszą miłością młodzieńczą i zdało mu się, że dlań na wieki świat zawiazany. Cesia nie byłaby mu wspomniała o wyjściu za mąż panny Hanny, nie chcąc mu dodawać smutku; ale Julek. w oburzeniu przeciwko niej, rodzicom i Mazurowiczowi. wygadał się przed bratem. Henryk dostał gorączki. płakał i przez kilka dni nie dawał się rozerwać nawet siostrze. która nad nim wielką miała władzę. Nakoniec Cesia potrafiła odwrócić zwoła jego uwagę na inne przedmioty.

W obu braciach po kilku tygodniach tak widoczna była różnica. tak spoważnieli i myśli ich tak dalece inny zwrot wzięły, iż wszyscy to postrzegli. nawet pocziwa Piotruska. Dla niej wszakże ta zmiana nie wydawała się ani korzystną. ani pożądaną.

— At! niewiedzieć co! — mówiła dopytującemu się Szmulowi. Bo to najgorsza rzecz. kiedy dziecko po za temi granicami głowę sobie obalamuci! Ja nie mówię nic przeciw Cesi. Panie Boże mnie broń. bo to anioł z kośćmi; ale młoda. a niema w niej młodości.

Żeby się to jak należy potrzpiotało, pośmiało... I chłopcy przy niej, co to byli jak ptaszki. bywało. świegocący cały dzień — teraz co? Nauczyła ich w książkach siedzieć, a posłuchać jak gadają! Sami nie wiedzą co; bo jużcibym ja zrozumiała, gdyby wtem kropla sensu była... At, d u r y h o ł o w i e i po wszystkim.

Szumł się uśmiechał. a klęcznica frasowała naprawdę. będąc w obawie o zdrowie chłopców. żeby się to nie pozawędzało.

— Bo nie powiadam żeby pobożnej książki nie wziąć w ręce. albo w wielki post medytacyj. czy tam czego... wedle Pana Boga; ale żeby te farmazońskie książeczyska raz w raz dusić, to tam z tego nigdy nic dobrego być nie może. Już to próżno. Tak mi Boże dopomóż! Człeku z tego ani życia. ani zdrowia nie przybędzie — at!

Podśluchiwała może Piotrusia projektów względem ogrodu, których się niezmiernie lękała.

Tak się rzeczy miały w Zawiechowcie, i mimo słabości starościny, byłyby może ciągnęły się ku lepszemu, gdyby nie... mściwe jakieś usposobienie Sławczyńskiego, albo niepoczciwość nieznanego człowieka. która na spokój biednych ludzi czyhała.

Dnia jednego Piotruska stała, swym zwyczajem, we drzwiach domu. bo ją to bawiło patrzeć sobie ku miasteczku, gdy przyszedł bryftregier, ten sam który się z nią bez należytego obchodził uszanowania. Piotruska wywdzięczała mu się tem, że ani już patrzyła na niego, ani doń zagadała. Wiedziała, że idzie i nie odwróciła się. Pocztyljon też nie odezwał się do niej: dobył list z torby i położył go jej na rękach.

W czytaniu klucznica nie była mocną. Na drukowanej książce szła rzecz znajoma gładko, nowa trochę opornie. pisanych zaś cyrografów, bo wszystko tak zwała. ani umiała. ani chciała decyfrowywać. Ograniczała się na wyczytaniu nazwiska w adresie. Przychodziły teraz i listy do panny Cecylii. ale te już mogła rozpoznać prędko. bo były gładkie, pachnące i składane inaczej. Tym razem list był jawnie i oczywiście „do jasnie wielmożnej starosciny.“

„To pewnie ten pocziwy marszałek! daj mu Boże zdroweczko, napisał... otóż jejmość będzie rada! — pomyślała Piotruska.

Staroscina siedziała w fotelu z tą robotą wiekniącą, która jej za kanwę do marzeń służyła, której ani rozpocząć nigdy na dobre. ani skończyć nie mogła... Tryumfując list przed nią położyła Piotruska i uśmiechnęła się. Staroscina włożyła okulary, rozdarła korpertę. zaczęła czytać pobladała mocno, ręce się jej trząść poczęły strasznie... krzyknęła przeraźliwie i osunęła się na fotel bez życia.

Piotruska poskoczyła do niej, nie wiedząc jak ratować. gdyż nie było to zwyczajne omdlenie. Nie mogła jej przywrócić przytomności. zaczęła więc sama krzyczeć głośno. w nadziei. że ktoś nadejdzie. Panna Cecylia schodząc ze schodów. usłyszała głos ten i przybiegła. List leżał na stoliku otwarty.

Staroscinę. po przeczytaniu jego. raził atak apoplektyczny.

Było-to ohydne, bezimienne, pełne obelg. naigrania się, odgrazań i prorocत्व pismo. które podyktowała zajadła nienawiść. Dowiedziała się z niego, a raczej domysliła się babka o prawdziwej przyczynie

choroby Henryka Przyszłość cała domu Horyszków, wszystkie potwarze ludzkie jakie o nich złość tylko rozgłaszać mogła, a obok tego proroctwa nędzy zawierało to pismo ohydne. Nie oszczędzono w niem nawet Cecylii, której zarzucano, że n hrabiostwa Sulejowskich rozerwała małżeństwo i zbalamuciła hrabiego. tak. iż za nią gonili aż do Zawiechowa.

Cecylia. przeczytawszy list. sama padła. jak marmur błada. obok staruszek. ale wnet odzyskała przytomność. schowała go do kieszeni. otarła łzę. która z oczów wytrysła, i zajęła się babką.

Żył jeszcze staroscina. ale żadne zwykłe środki do przytomności jej przywrócić nie mogły. Wyprawiono konno Andruszkę do doktora. Hordziszewski nadbiegł, by krew pnieć: lecz było zapóźno, długie cierpienie wyczerpało siły.

Na górze obaj bracia nie wiedzieli o chorobie babki. gdy ta już życie skończyła. Raz jeszcze otworzyła oczy. spojrzała na Cecylię. usmiechnęły się jej usta i zamknęły na wieki. Piotruska padła przy zwłokach nieprzytomna. jakby obłąkana i wynieść ją musiano.

Prawie sama z tem ciałem zastygłym została Cecylia w salce, walcząc z sobą, aby się nie poddać rozpaczcy jaką ją ogarniała. Staruszka nieruchoma w fotelu. od której rzadko słowo posłyszeć było można, zdawała się nic nieznaczyc w tym domu. a ze zgonem jej stał on się pustką straszną.

Cecylja ncznła się samą. bez opieki. z ciężarem obowiązków nad swoje siły. otoczoną nieprzyjaciółmi. spotwarzoną. zniesławioną. Można było stracić odwagę w położeniu tak rozpaczliwem... Chwilę też zbłąkały się jej myśli i zażądała śmierci jak wyswobo-

dzenia. Serce miała ściśnięte trwogą, żalem i oburzeniem. To czego się najwięcej lękała — potwarz. odbierała jej skarb ostatni: poszanowanie u ludzi.

Zmyślona ta historia rozerwanego małżeństwa musiała już być powszechnie znaną i powtarzaną. gdy bezimienny nikczemnik, którego list oddany był na pocztę w Blotkowie, wyprowadzał ją na jaw. Ukłękła przy zwłokach. położyła głowę na kolanach staruszki i płakała... płakała nie wiedząc jak długo, aż ją oprzytomniona już Piotrska przyszła gwałtem od zwłok oderwać. Nie mogła ona pozwolić, aby ktokolwiek dotknął jej drogiej pani... sama chciała ją jeszcze obmyć łzami i przyodziać na drogę wiekuistą. na sen nieprzespany.

Inlek, który zbiegł przerażony, odprowadził siostrę do jej pokoju. Szczęściem doktor i ks. wikary ani na chwilę się nie oddalali. Nieszczęśliwa rodzina budziła w nich miłosierdzie chrześcijańskie.

Nic nie mówiąc pannie Cecylii, ks. Kniebiaka, który wiedział o jednym tylko krewnym. pann marszałkn, a przeczuwał, że rodzina pomocy jego potrzebować musi. napisał kilka słów do niego i pchnął na całą noc posłańca. Sam tymczasem zajął się przygotowaniami do pogrzebu. Doktor poszedł Henryka uspokoić i męskiego weń wlać ducha, bo biedny chłopiec płakał jak dziecko i wyzebrał u lekarza, że mu, choć o kłniach. zejść pozwolił. aby raz jeszcze babkę zobaczyć.

Ze dworn doszła wieść do miasteczka. Stary Szmul przybiegł natychmiast. meldując się do panny Cecylii i ofiarując jej pożyczkę. jeśliby pieniędzy na pogrzeb było potrzeba. za co mu podziękowała. zape-

wniając, że znajdują się u niej. Stary nie mógł mówić, otarł łzę i wyszedł.

Razem z wiadomością o zgonie, Piotruska rozpałała niepotrzebnie i o liście, który sama oddała. Wikary dopominał się go, ale list zniknął. Cecylia zamilczała, że go wzięła, nie chcąc by czytano potwarz na nią rzucaną. Pismo więc i przyczyna zgonu pozostały tajemnicą.

Horyszkowie, oprócz Sławczyńskiego i Mazurowicza, nieprzyjaciół jawnych nie mieli; ale nie mieli też i przyjaznych w nieszczęściu, bo o tych trudno w złej doli. Największe podejrzenie paść mogło na ten jeden dom, zwłaszcza, że małżeństwo młode od pierwszego dnia stało z sobą na stopie wojennej, a usposobienie to przypisywać musiał Mazurowicz przywiązaniu do Henryka.

Po modlitwie, Cecylia wyszła, dla rozporządzenia domem, siłą się, aby być panią siebie.

Piotruska już swoją drogą starość ubrała, zlewając łzami w najlepszą z sukien i z pomocą dwóch babek kościelnych, złożyła ją w tym samym saloniku, na niskim tapczanie, starem dywanami pokrytym. Dała jej w ręce krzyżyk z odpustami, przy którym modlić się lubiła, i obrazek patronki. Julek zapłakany przyniósł z ogrodu kwiatów i gałęzi zielonych i dokoła ten ubogi katafalk obsypał niemi.

Zapalono świece, otwarto okna. ks. Kulebiaka rozpoczął modlitwy. W starym cienistym ogrodzie słychać było zapamiętałe śpiewające słowiki, które zdawały się piosenką swą wróżyć koniec bóleści ziemskiej i wesele wiekuistego żywota.

Walka była skończoną. Zwłoki które tu spoczywały. należały do kobiety, która niegdyś świetne w społeczeństwie zajmowała stanowisko, której uśmiechała się przyszłość. młodość spłynęła w dostatkach. którą los odzierając stopniami ze wszystkiego. przywiódł do sieroctwa, do nędzy... nauczył i zmusił cierpieć. Ostatnia jej chwila była jeszcze niewysłowioną boleścią.

Gdy tylko drzwi salonu otwarto i ciało wystawione zostało. natychmiast z miasteczka schodzić się zaczęli ciekawi, choć pora była dosyć spóźniona. Stawali popatrzeć na tę twarz spokojną. wypogodzoną zgonem, wyschlą i męczeństwem opromienioną. Zapłakał niejeden. W pałacu. oprócz kroków które się rozlegały w sieni. cicho było jak w grobie. Cecylia znużona. na chwilę odeszła do swojego pokoju. gdzie i Julek popłakiwał — gdy wikary przyszedł do niej.

— Jutro pogrzeb być nie może — odezwał się siadając — najprzód. że i trumna nie gotowa, no — a potem i na marszałka czekać potrzeba.

Cesi dopiero teraz na myśl przyszedł ten człowiek, o którym szczęściem zapomniała w pierwszej chwili. Budził w niej jakiś wstręt i obawę.

Nie śmiała spytać czy mu dano znać. ale wikary zaraz się do tego przyznał. Rozporządzenie pogrzebem. jak mu się zdawało. powinno było od tego najbliższego opiekuna rodziny zależeć.

— Nie wiem co prawo stanowi w takim razie. odezwała się Cecylia. ale czuję co mówi serce. Pogrzebem babki my mamy obowiązek rozporządzać. mój ojciec. Posiadam trochę zapracowanego i oszczędzonego grosza. Zdaje mi się. że zgrzeszylibyśmy przy

zwłokach tej. która swój niedostatek znosić umiała, nie szemrzając do zgonu. gdybyśmy. biedni będąc. udawali zamożność. Odbędziemy więc skromnie ostatnią posługę. Było to nawet wolą nieboszczki.

— A sąsiedztwo? — spytał wikary.

— Nie będziemy prosili nikogo; kto łaskaw. przyjdzie i pomodli się bez zaproszenia.

— Duchowieństwo. podchwycił wikary — hm?

— Wy, mój ojcie. tem rozporządzicie. a ja, co każe-cie... zaspokoję.

Ks. wikaremu chciało się bardzo, na złość ludziom, wystąpić trochę; ale wszedł w myśl Cesi i uznał jej słusność.

— Niechże będzie jaknajskromniej — dodał — nie trzeba i pogrzebem kłamać. Masz. moja panno. wielką racją.

W nocy nikt w domu nie zasnął; na straży ciała mieniano się godzinami i modlił się ktoś ciągle.

Cecylia. przybrawszy się w suknie żałobne, przesiedziała do dnia w fotelu. Była strapiona. pogrążona w myślach. a mimo bólu po stracie babki. przyjazd marszałka i jego opieka nad rodziną. mocno ją niepokoiły.

Przez cały dzień następny z miasteczka tłumami szli ludzie do palacu. Nad wieczorem stolarz przywiózł trumnę i zamknęto salkę na chwilę, aby ciało przenieść do niej. Julek znowu przyniósł kwiatów i wysłał ostatnie łoże staruszki wszystkimi, jakie mógł zdobyć w ogrodzie. ucałował jej nogi. jej ręce co go tyle razy od dzieciństwa błogosławiły. i płakał. Andruszka i on sprowadzili o kulach Henryka. przyczem Hordziszewski był obecny. Henryk, także

placząc, ucałował ręce babki. ale mu lekarz nie dał się zbyttnio roztkliwiać i do ucha wołał:

— Po mężku! pomódl się i nazad do łóżka! Jesteś rodziunie potrzebny. powinienes się szauować.

Trochę despotycznie oderwauo go od ciała i zaprowadzono uazad na górę.

Tego dnia z sąsiedztwa wiele osób, nie znosząc się wcale z pozostałą rodziną, przybyło tylko dla ciała, z modlitwą i poszanowaniem. Przyjechała także sama Sławczyńska i demonstracyunie długo się modliła, aby ją wszyscy widzieć mogli. konie przed palacem zostawiwszy na widoku.

Katafalk był już uporządkowany i trumna wniesiona, gdy pocztą uadjechał pan marszałek. Zmierzchało się na podwórzu, a w salce ciemno było i świece tylko przy trumnie, rzucały na nią trochę blasku. Siostrzeniec. nawykły we wszystkich czynnościach do występownia efektownego. które było w jego naturze i obyczaju, odegrał i tu scenę. jakiej się po nim spodziewać było można. Jak obłąkany bólem wysiadł z powozu. rozkazując się podtrzymywać służącemu... w progu stauął raz... w przedpokoju salki, zakrywszy oczy, oprzeć się musiał o ścianę; potem padł na kolana przy katafalku i płakał. lub też okazywał że płacze... Piotruska. która do niego przybiegła, wielce mu była pomocną, bo go ciągle uspokajała i pocieszała. co mu dozwalało jeszcze większe okazywać wzruszenie. Kazał się dźwignąć do trumny. na której głowę sparł. a wreszcie odbywszy to wszystko, szepnął Piotrusi. że potrzebuje gdzie spocząć trochę. bo czuje się słabym. Cesia właśnie, dowiedziawszy się o jego przybyciu, chciała wyjść ze swego pokoju

do braci. aby tam przyjąć marszałka. gdy go klucz-nica do niej wprowadziła.

Niemy. osłabły, prosił o fotel i padł na niego. nie mogąc długo przemówić słowa. Wynagrodził to jednak sobie. gdy raz mówić zaczął.

— Co za strata dla mnie. który ja jak syn kocha-łem!... Święta i biedna męczennica!

Piotrusia mu po drodze szepnęła o liście, zaczął się więc o niego dopytywać. Cecylia. mimo wstrętu do wszelkiego fałszu i zatajania. zamilczała znowu, nie chcąc mu dawać żadnych objaśnień.

Pochwałami zmarłej począwszy. marszałek przy-stąpił natychmiast. z pewnym naciskiem. do zazna-czenia. iż na niego spada opieka, jako na wuja... i oświadczył kuzynce. żeby była spokojną. bo on nad losem jej i braci gorliwie czuwać będzie.

— Szanowny kuzynie— cicho odpowiedziała mu Ce-sia, ja od lat młodych nawykłam sama czuwać nad sobą i o sobie myśleć. Serdecznie wam dziękuję. ale w żadnym razie ciężarem nikomu być nie chcę.

Rozmowa przerwana. naturalnie na później zo-stała odłożoną. Wszedł wikary i nastąpiły zapyta-nia o rozporządzenia pogrzebowe. Ks. Kulebiaka oświadczył co postanowiono, ale się to nie podobało marszałkowi.

— Jak skoro ja tu jestem. najbliższy krewny. a stan mój majątkowy pozwala mi pogrzeb uczynić świetnym. spadłby na mnie wyrzut skąpstwa. gdybym się nie sta-rał uczynić go odpowiednim godności staruszki.

Cesia po cichu wrzuciła słowo. iż onaby rada z własnego zasobu zaspokoić koszta pogrzebu: lecz pan Bolesław nie godził się na to - - dala więc tylko

znak księdzu, aby uczynił jak się umówili... Marszałek poszedł jeszcze do Henryka na górę, gdzie znówu płakał i obsypywał ich obietnicami. Tu kazał sobie przynieść herbatę i dłuższy czas pozostał z Henrykiem i Julianem.

— Pozwólcie mi — rzekł w końcu — zająć się losem waszym, a zobaczycie, że przy moich stosunkach, będę wam pomocnym. Trzeba żebyście Cesię tylko namówili na to, czego ja dziś wymagać od niej mam pewne prawo. Ona tu nie ma co robić; ja jej dom mój ofiarowałem i ofiaruję i proszę was, byście na nią wpłynęli, żeby zamieszkała u mnie. Sumienie mi nie pozwala zostawić tak samą kuzynkę drogą.

Bracia nie znajdowali w tem nic dziwnego i dziękowali mu serdecznie, chociaż Henryk zasępił się trochę, bo mu żal było rozstać się z Cesią i rachował na to, że się nie rozdziela. Lecz wobec tego, co się dla niej dobrem zdawało, nie śmiał z egoizmem swym występować.

Nadszedł w ostatku dzień pogrzebu. Ks. Kulebiaka sprosił od siebie duchowieństwo, które chętnie przybyło. Pogrzeb więc wypadł świetniej niż się spodziewać było można. W kościele i na cmentarzu znalazło się mnóstwo ludzi. Tu był stary grób familijny, rodzaj kapliczki murowanej, pokrywającej podziemie, gdzie stały już w wielkiej liczbie Horyszków trumny, począwszy od starych, wspaniałych, aż do skromnych, ostatnich. Miejsca już niewiele było dla nowych przybyszów.

Nad grobem wystąpił nie z mową, ale z prostym, serdecznym słowem pożegnania ks. Kulebiaka i zakończył je płaczem, od którego wstrzymać się nie mógł.

Zapłakali wszyscy... Marszałek batystową chustką zakrył oczy. Julek spuścił się za trumną do lochu, aby ją ustawić i jeszcze raz pożegnać.

Oczy ludzi ciekawie zwracały się na żalobnie ubraną Cecylią, zakwieconą, z twarzą zakrytą, której marszałek rękę podawał: ale nikt do rodziny się nie zbliżył.

Wieczorem w milczeniu wszyscy powrócili do pustego pałacu. Salka starościny stała zamknięta, a w domu tylko płacz Piotrusi się rozlegał.

IV.

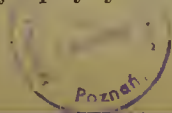
Nazajutrz, już z wyjaśnioną nieco twarzą, acz zawsze posepny i wzdychający, przybył zrana pan marszałek wprost do pokoju Cecylii, która zdawała się czekać na niego, wiedząc, że walka będzie nieuniknioną.

Zaczął się najprzód skarżyć na potargane nerwy, na ból głowy, noc spędzoną bezsennie i czule serce, które mu nie dozwalało nigdy nic po mężku przyjąć obojętnie. Nastąpiły potem oświadczenia miłości dla rodziny i gotowości do poświęceń dla niej.

— Jestem waszym opiekunem z prawa, droga kuzynko; lecz gdyby mi się nawet ono nie należało, narzuciłbym się wam, wiedząc jak jesteście osamotnieni, osieroceni i jak wielkie na mnie ciąży obowiązki.

Tu westchnął...

— Nie jest-to może chwila do nastawiania na to co postanowiłem; ale ja, przy tych wiekuistych nieszczę-



śliwych moich zajęciach urzędowych. nie mam wyboru godziny. Musimy z sobą pomówić stanowczo. Nie odstępuję od myśli. droga kuzynko. abyś koniecznie przyjęła ofiarę mojego domu, który proszę za własny uważać. Zechcesz się zająć moimi drogiemi sierotkami, czy nie. to od twej woli i serca zależy, ale niechże mi wolno będzie wyrwać cię z tej ruiny. z tej pustki. do której nie jesteś stworzoną. Była to wola i postanowienie naszej drogiej zmarłej.

Cesia słuchała ze spuszczonemi oczyma. nie odzywając się jeszcze ni słowa. Marszałek więc mówił dalej:

— Ze wszystkich względów dla kochanej kuzynki dom mój będzie stosownym. Znajdziesz w nim towarzystwo do jakiego nawykłaś na większym świecie, a co do mnie. proszę mi wierzyć. że będę najszczęśliwszym. spełniając we wszystkim jej wolę.

Czarne, załzawione oczy podniosły się nareszcie. spokojne. jasne. pomimo łez, i utkwily w mówiącym. W spojrzeniu tem malowała się taka pewność siebie. taka wola silna i tak niewzruszone postanowienie. że nim odpowiedź usłyszał, pan Bolesław już. przeczuwając ją. zmieszał się nieco.

— Nie umiem słów znaleźć na podziękowanie — odezwała się powoli. — Wierz mi. kochany wuju. iż tę ofiarę zachowam w sercu jako drogą pamiątkę. bo przychodzi w chwili. gdy nikt nam ręki nie podaje. gdy tylko serce tak szlachetne jak wasze mogło się zdobyć na to... Ale chciej mnie posłuchać i zrozumieć. Ja o sobie nie myślę. ja przyszłości nie potrzebuję żadnej. Umiałam się ze swym sierocym losem pogodzić... Idzie mi jednak o braci i dla nich chcę pracować Przygo-

towałam się poniekąd do tego zadania. Nauczycielka z powołania, chcę dla nich stać się siostrą-przewodniczką. Więcej od nich widziałam świata: miałam sposobność jeśli nie nauczyć się czegoś, to spojrzeć przynajmniej na nankę. Ich wychowanie było zaniedbane, niedokończone. Jako siostra, winnam im najprzód sama siebie i chcę a mnszę pozostać z nimi.

Marszałek okazał pewne znecierpliwienie.

— Jest to nadzwyczaj piękne i szlachetne ani słowa — odezwał się — ale pozwól sobie powiedzieć, że oni obaj są w tym wieku, w którym już opieka nauczycielki nstać powinna. Mogłabyś się porwać na to, czego nie zdołasz spełnić. Miłość braterska zaslepia kochaną knzynkę.

— Pozwólcie mi spróbować — wtrąciła Cecylia.

— Zakosztowna to może być próba, a istoty takiej mówię to bez pochlebstwa, szkoda do pracy, którą mniejszą ofiarą, z lepszym może skutkiem, kto inny podjąć potrafi. Zresztą, ja także i o nich myślę. Julka biorę do swojej kancelaryi.. nrzędowa karyera..

Cecylia podniosła oczy.

— Nie wiem czy Julek czuje do niej powołanie, i zdaje mi się, że jego nsposobienie..

— Julek się wyrobi pod moim dozorem — przerwał marszałek—a co się tyczy Henryka, ten, zdaje mi się, kaleką zostanie po tym nieszczęśliwym wypadku.

- Doktor zaręcza, że zaledwie ślad jakis zostawi po sobie rana.

— Ah doktor! doktorowie obiecują zawsze... Ja się na tem znam: kula mu ścięgną porwała... conajmniej będzie nogą powłóczył. Jemu potrzeba spokojnej egzystencyi. Znajdę mu małą dzierżawę...

— A cóż zrobimy z Zawiechowem? — żywo zawołała C'ecylia.

— Sprzedamy pałac korzystnie na lazaret... to moja rzecz. Rząd potrzebuje właśnie murów i zapłaci bardzo dobrze.

C'esia złożyła ręce.

— Panie marszałku — zawołała — to nie może być! Zaklinam pana, nie czyn tego! Te mury. te drogie, przesiąknięte pamiątkami grunzy... pozwól nam w nich zostać!... Mam. dodała energicznie — trochę zapracowanego grosza. mam wiele odwagi. a przed sobą cel święty. Daj mi pan rok. dwa czasu... znajdę sposób ratowania rodziny o własnych siłach.

Marszałek się roześmiał.

— Inż mi o tem mówiono. zawołał. — Mais, chère cousine. tak dziwaczna fantazyja mogłaby być nwwzględnioną. gdybysmy mieli dużo czasu i pieniędzy do stracenia. Ale przyznam się, że mi żal i twych pieniędzy. i pracy... bo to wprost pomysł piękny, poetyczny. ale — pozwól sobie powiedzieć — dziecinny...

Cesi oczy już były oschły.

— Kochany wujn — odezwala się, wyraziście dając mu ten tytnł — przebaczysz mi. Może to być i dziecinne, ale ja na siebie biorę odpowiedzialność i com postanowiła, to spełnię. Żadna w świecie siła od tego mnie odwieść nie może.

Pan Bolesław zbladł, zrobił dziwną minę, nsta wykrzywił, dnnmie jakos piers wydał i głowę na ramiona zarzucił.

— W takim razie — rzekł — musielibyscie się wyrzec zupełnie opieki mojej, pomocy, wszelkiego odwoływania do mnie, jednym słowem węzłów które nas łą-

czą... bo ja czynię to, co mi doświadczenie i rozum dyktują, lub — nmywam ręce.

— Jeżeli który z mych braci pójdzie za radą pana marszałka — przerwała Cecylia — ja mięszać się nie będę do tego: mogą czynić co chcą. Ale ja zostaje w Zawiechowie.

— Choćby sama jedna z Piotruską, która między nami mówiąc, nie jest także długowieczną? — począł marszałek.

Cecylia nie odpowiedziała.

Pan Bolesław okazał się jakby urażonym: ostrygł nagle. Jakkolwiek biedna sierota zdawała się być pewną tego co czynić chciała, jakkolwiek mocne miała postanowienie spełnić myśl swoją i samej sobie być winną ratunek... przypomnienie, że nie własnym tylko losem, ale razem przyszłością braci rozporządza, strwożyło ją. Zawahała się, lzy pociekły jej z oczów i prędko zaczęła je chustką ocierać.

Ze swej strony marszałek poczuł, że złą drogę obrał, chcąc trafić do serca pięknej kuzynki, którą co chwila się więcej zachwycił. Nie spodziewał się w niej tej energii, ale nie życzył sobie zerwać, bo już marzył o niej i o bardzo miłej jakiejś przyszłości. Powiedział sobie, że z takim charakterem trzeba więcej działać z pomocą zręcznej insynuacji, czasu — może trochę pochlebstwa i przynilenia. Łzy owe na oczach kuzynki dawały mu doskonałą sposobność do uczynienia zwrotu, z którego sobie najlepsze obiecywał skutki.

— Niech próbuje — rzekł w duchu.

Udał nadzwyczaj wzruszonego temi łzami, złożył ręce i rzucił się ku niej.

— Droga Cesin. pozwól mi się tem ponfałem nazywać imieniem, jako krewnemu — niechże ja nie mam sobie lez tych pięknych oczy do wyrzucenia. Czyii co chcesz. Zgadzam się na wszystko. Złamałaś mnie. Nie wiesz jaką masz potężną władzę nademną. Ustępuję. bo nie miałbym siły ani się wyrzec tych drogich węzłów. które nas z sobą łączą. ani ci się sprzeciwić. Czyii co ci się podoba... O jedno tylko proszę. błagam: pozwól mi stać na straży. zwać się twym opiekunem i przyjść ci w pomoc. gdy się przekonasz iż poezya, niestety. w obłokach świeci, ale na ziemi nie kwitnie.

Tu westchnął. Cecylii zrobiło się lżej; podała mu rękę. którą zamiast uscisnąć. ucałował aż nadto gorąco.

Ujęło ją to wzruszenie. w które uwierzyła. W chwili gdy zdawało się grozić zerwanie. nastąpiło pewne zbliżenie i rozmowa skierowała się na zmarłą staruszkę, na przyszłość, na Zawiechów. Marszałek wrócił zrzęcznie do poddanej myśli sprzedaży.

— Proszę mi wierzyć — rzekł, że nie dlatego to mówię. abym się upierał przy swoich planach; ale potrzebuję zrzucić ciężar z sumienia. Kochana kuzynka wie. że u nas wszystko się robi przez wpływy i stosunki. Marszałek. który umie chodzić około tego. może w powiecie zrobić co zechce. Zawiechów. tak jak jest. z tą rniua. z tym ogrodem. z tym kawalkiem gruntu jałowego, niewart nawet kilku tysięcy rubli. a na lazaret ja—ale tylko ja—mogę go sprzedać za kilkanaście. a może i do dwudziestu dociągnąćby się dało. Jest-to jedyna w świecie sposobność... Nikt pewnie nie ceni wyżej pamiątek naszych

jak ja... Gdyby nie interesa. nie straty. jabym sam Zawiechów kupił. Mnie się serce krajać będzie, widząc go sprofanowanym; ale dla was choć po kilka tysięcy rubli funduszu, to jakby z nieba spadły dar...

— Masz słuszość. kochany wuju — cicho odpowie działa Cecylia—tembardziej że ja mojej części się wyrzekam w każdym razie. Bywają w życiu wypadki, w których i łzami oblaną pamiątkę trzeba poświęcić dla ocalenia niepodległości — a jednak ja proszę...

— A ja milczę i rozkazom jestem posłuszny, rzekł szybko marszałek — bo proszę mi wierzyć, każde słowo kochanej Cesi jest dla mnie rozkazem.

— Kochany wuj mnie popsuje — odezwała się z uśmiechem smętnym Cecylia, wstając. Pójdziny do Henryka.

Marszałek podał jej rękę i w najlepszej zgodzie poszli na górę. Tu rozmowa była obojętną, a siostra, przebywszy chwilę z braćmi. znużona. potrzebując odpoczynku, wysunęła się do swojego pokoju. Niezupełnie jeszcze była spokojną. Nieszczęsny ten list beziemienny, który uosiła przy sobie, palił ją jak ogniem: kilka razy przebiegała go z oburzeniem i łzy stawały jej w oczach. Ten co śmiał nim dobić nieszczęśliwą staruszkę. mógłże z pochwyconą gdzieś potwarzą, raz jej używszy. zamilknąć?... Człowiek co to uczynił, mógł się posługiwać tą bronią przeciwko rodzinie. Wieść o tem mogła dojść do marszałka. do braci, z innego źródła, a milczenie obwinionej za przyzwanie się do winy mogło być więtem.

Chociaż pan Bolesław nie obudzał w niej ani zbytniego zaufania, ani sympatyi, postanowiła po namyśle pokazać mu list i rozmówić się z nim otwarcie.

— Uwierzy mi, czy nie — ale należy do rodziny. niech więc wie wszystko.

Mysł ta. której powzięcie wiele ją kosztowało. gdy raz się w niej ntwierdziła, prawie ją uspokoiła.

— Tak uczynić powinna, rzekła sobie.

Marszałek nie wrywał się, swoim zwyczajem, na obiad. Zabrawszy z sobą Julka. poszedł do restauracyi. nie chcąc być ciężarem w domu. w którym mniej niż kiedy było porządku i usługi. Po południu obaj mieli powrócić.

Przez te dni Cesia chlebem prawie żyła i kawą. gdyż od biednej Piotrusi niczego wymagać nie było można. Po pogrzebie jednak spłakana staruszka wróciła do swych zajęć nałogowo... i znowu się krzątała. przerywając łzami i wspomnieniami łajanie slugi.

W parę godzin Julek z marszałkiem powrócili z miasteczka. Ostatni wybierał się już w drogę i koniom kazał przyjsć za sobą. Chcąc jednak jeszcze raz sam na sam rozmówić się z piękną kuzynką. wysłał Julka na górę i wszedł do jej pokoju. Cesia czekała nań błada. poruszona—czując że jedną z najprzykrzejszych chwil w życiu ma do przebycia. Potrzebowała całego mężstwa. aby jej podołać.

Marszałek po obiedzie był w dosyc wesołym nawet nsposobieniu, o ile żałoba i ledwie zamknięty grób dozwalały.

— Muszę jechać — zawołał. wzdychając i rzucając się na krzesło. Jestem doprawdy jednym z najnieśczęśliwszych ludzi na tym padole płaczu. Obowiązki rzucają mną. nie dając mi tam. gdziebym chciał. pozostać. Oto i dziś na komisya jakąś jechać tam muszę,

gdy takby mi tu było miło. Będę o was niespokojnym. a jeśli pozwolicie choć przejazdem się odwiedzić...

— Bardzo wujowi będziemy wdzięczni—dodała Cecylia. — Przykro mi tylko że my. zamiast mu tu dać chwilę wytchnienia, напоiliśmy i poić go musimy gorczyzą. Podobno najboleśniej sze wyznania zostały mi na chwilę ostatnią.

— Cóż takiego? podchwycił przestraszony nieco marszałek.

— Dla mnie to szczególnie boleśnie—mówiła Cecylia.—Wicie już o przyczynie śmierci naszej najdroższej babki...

— Mówiono mi o jakimś liście.

— Tak, był list. list okropny, list bezimienny.

— I zginął? spytał pau Bolesław.

Drżącą ręką dobyła go z kieszonki Cecylia.

— Oto jest — dla was nie powinniśmy mieć tajemnic. choćby wyznanie najprzykrzejszem się stało. Czytaj pan.

Marszałek chciwie porwał szarą ćwiartkę papieru, najprzód starannie rozpatrując się w jej powierzchowności. Twarz mu się zaczerwieniła... począł przebiegać pismo. Cecylia, stojąc przed nim, wlepiała weń oczy. czekała tej chwili, gdy dojdzie do miejsca, w którym o niej była mowa. Marszałkowi zadrżała ręka, oczy na nią podniósł. oniemiał.

— Stoi tam — poczęła spokojnie obwiniona, czytałeś, kochany wuju — stoi żem splamila pocziwe imię uaszę. żem z zaufaniem wprowadzona do domu zacnego. wniosła doń niepokój. zerwała węzły święte, dała się obłąkać sercu lub nikczemnej rachubie. Nieprawdaż? tak tam stoi... Czy wierzysz temu?

Marszałek milczał.

— Lecz jakież mógł być powód stworzenia tak ohydnej potwarzy? rzekł po chwili.

— Powód był — spokojnie ciągnęła dalej Cecylia, siadając i głowę sparszy na rękę. Pan hrabia Sulejowski żonaty jest z kobietą, która go nie kochała nigdy. Malżeństwo znalazłam, przybywszy do tego domu, najnieszcześliwszem. Chciałam się oddalić, ale nie puszczano mnie. Nie mogłam nigdy posądzić pana hrabiego. by na mnie rzucił okiem. Pracowałam nietylko nad ich dziećmi. ale nadaremnie usiłowałam przywrócić tam pokój i zgodę, gdzie ich nigdy nie było. W pierwszej chwili. gdym mogła nie postrzedz, ale domysleć się ze strony hrabiego tego uczucia dla mnie, w które nie wierzę, które było pańską jakąś lekomyślnością i fantazyą. pożegnałam ich natychmiast... Napisałam do babki, wróciłam tutaj... Oto jest prawda cała... Ale hrabia rozwodzi się z żoną, która oddawna domagała się rozwodu.. to mogło dać powód do potwarzy... Zbyt jestem dumną — dodała Cecylia zbyt czując godność swoją, abym posądzoną nawet być mogła.

Marszałek siedział zamysłony. przybity, widocznie mocno tknięty tem wyznaniem.

— Bądź-co bądź—odezwał się—jest-to prawdziwe nieszczęście, bo dla ludzi dosyć pozorów. aby potwarzy uwierzyli, a tu się istotnie składają rzeczy jakoś tak dziwnie...

Zaczął szukać po kieszeniach.

— Niech kuzynka sobie wyobrazi, ja od tego Sulejowskiego — a przynajmniej domyślam się że to ten sam być może — jak mu imię?

Cecylia się zarumieniła.

— Alfred—rzekła pocichu.

— No, więc od tego samego list miałem przed wyjazdem. Chce tu w sąsiedztwie kupić dobra, wystawione właśnie na sprzedaż, i mnie, jako marszałka, zapytuje o ich wartość. prosząc o otwarte, objaśnienie interesu.

Żywo poruszyła się Cecylia, składając ręce.

— Na miłość Bożą. zawołała — jeżeli to być może niech mu wuj odpisze. iż nie radzi. że dobra są zrujnowane. że ceny tej niewarte...

Prośba ta zdziwiła nieco, ale razem uradowała marszałka.

— Naturalnie że postąpić inaczej nie mogę, rzekł, chociaż wyznaję że odpowiedź tego rodzaju będzie trudną. bo dobra są tanie. w położeniu doskonałym i interes wyborny.

— Ale się coś zawsze znaleźć może?

— Musimy coś znaleźć—odparł marszałek, któremu obojętność Cecylii dla hrabiego zdawała się dobry humor przywracać. Stanowczo mu odradzę. Na nie-szczęście ja. przy tych moich interesach i kłopotach niezliczonych, nie miałem czasu zaraz mu odpowiedzieć.. list trochę zależał; zresztą i człowieka nie znałem.

Cecylia milczała. Pan Bolesław list bezimienny obracał na wszystkie strony, badając pieczętkę, papier, pismo...

— Możecie mi powierzyć ten dokument? zapytał.

— Na co?

— Radbym dojść sprawcy.

— Proszę was, nie czyńcie tego... wzgardzić nale-

Resurrecturi. T. II.

ży, a nie mścić się... Oddajcie mi list, niech Bóg kary domierzy.

Marszałek zwrócił pismo, wstał i gotował się do odjazdu; Cecylia śmiało i otwarcie spojrzała mu w oczy.

— Widzisz mnie. kochany wuju, spokojną. zrezygnowaną. Nim odjedziesz, zapytam raz jeszcze: czy sądzisz mnie winną? czy możesz przypuścić żem była płochą aż do zbrodni?

— Ah! nigdy w świecie! z zapalem podchwycił marszałek, na którego Cecylia coraz większy urok wywierała.

— Dziękuję wam; potrzebuję być czystą w oczach tych co do mnie należą, a co powie świat, jest mi zupełnie obojętnem. Ja się wyrzekłam świata, on dla mnie zamknięty.

Podala mu rękę i żywo odeszła ku oknu; łąz się jej kręciła w oku. Pan Bolesław stał jeszcze chwilę i niemniej poruszony, poszedł się żegnać z chłopcami. Julek przeprowadził go aż do powozu, wyszła Piotruska, do kolan się schylając i prosząc, aby o nich nie zapominał.

Konie ruszyły przez miasteczko; marszałek kazał się zatrzymać przed Szmulem.

Znalazł starego Izraelitę na górze. odpoczywającego nad książką pobożną. Na widok gościa, dokonczawszy naprędce modlitwy, Szmul wyszedł z powitaniem i wskazał mu najparadniejszą kanapę.

— Panie Szmul. odezwał się przybyły. czy jesteśmy sami i możemy mówić poufnie?

Stary poszedł opatrzyć wszystkie drzwi i powrócił z zapewnieniem, iż niema nikogo.

— Pan z pewnością musisz dużo listów odbierać od różnych osób... z obywateli.

Szumł głową dał znak potwierdzający

— I mogę się pochwalić — rzekł. że u mnie korespondencya jest w porządku. Każda rzecz na swoim miejscu, pod alfabetem. Pismo, to wielki intres; może się świstek przydać w lat dziesięć i albo zabić, albo wyratować człowieka.

Popatrzył w oczy marszałkowi, jakby dochodził, na co mu się jego korespondencya przydać mogła, aż nagle wpadł na trop.

— Jasnie pan widział ten list?

— Jaki? spytał marszałek.

— Ten niepocziwy, szelmowski, co zabił naszą starość.

Nim pan Bolesław miał mu czas odpowiedzieć. Szumł poszedł do czarnej czafy, stojącej w rogu izby, otworzył ją i z szufladki, oznaczonej literą M., wyjął cały pęk listów.

— Tego się łatwo domysleć kto to pisał... ja ręczę że on i ręki nie zmienił... to Mazurowicz.

Rzucił wiązkę listów przed marszałkiem, któremu dosyć było spojrzeć na papier, charakter, a nawet pieczętki, aby nie mieć najmniejszej wątpliwości, że Mazurowicz był autorem anonimu.

— Czegóż on chce? za co się mści? zawołał.—Żonę wziął. Wszystko skończone. I chłopca o mało nie pozbawił życia.

— I dlatego że nie pozbawił, to mu nie dosyć—począł Szumł z oburzeniem. To nie jest żadną tajemnicą: oni z sobą żyją jak pies z kotem. Kobieta dziesięć razy od niego rozumniejsza, a zdesperowana... niech ja-

śnie pan sobie pomyśli, co to tam za życie być musi! Ona się z tem wcale nie tai, że pana Henryka jeszcze kocha, a mówi mu w oczy: wydali mnie siłą, wzięłeś mnie mimo mej woli, powinienes więc wiedzieć co cię czeka. Zawsze mnie pilnować nie możesz: zemszczę się po kobiecemu!... Słyszysz pan marszałek? to są jej własne słowa, ja o tem wiem przez jej sługi. bo ona gada głośno i nie wstydzi się. Mazurowicz rwał się już do cybucha, ale się zląkł. jak mu coś powiedziała. Tam sądyń dzień.

Tu Szmul zbliżył się do stołu i pochylił ku marszałkowi, który słuchał i uszom swym nie wierzył, zniżył głos i począł, oglądając się:

— No, kiedy już o tem mowa, to co ja mam taić? Nie byłbym zagadał, ale przecie na to radzić potrzeba. a tu nikt nie potrafi, chyba pan jeden może. Pan marszałek myśli, że to się z naszym panem Henrykiem skończyło?

— A cóż może być? on leży przecie chory — prze-rwał pan Bolesław.

— Tak. on leży chory... to prawda; ale jemu tam listy codzien noszą i wożą. Ona sobie drogę znalazła. On do niej pisuje codzien i ona do niego. Pan Julek o tem wie, tylko siostra nie, bo oni się tej siostry boją. Gdyby nie ona... kto wie, gorzejby było. Chłopcy. zwyczajnie młode; im się zdaje wszystko w porządku, a z tego może być drugie i straszniejsze jeszcze nie-szczęście.

— Lecz zkądże pan wiesz o tem? zapytał zdumiony marszałek.

— Ja muszę wiedzieć o wszystkim. Czy chcę, czy nie chcę, to mnie ludzie wszystko do ucha przyniosą.

A tak samo jak ja, wie może niejedyn. Mazurowicza nie lubi nikt i wszyscy się cieszą z tego, że on sobie włosy z głowy wyrywa... Na dole w restauracyi kapitan Pupart o tem gada. młodzież w ręce klaszcze i cieszy się, jak z najlepszego figla. Oni tylko Pana Boga proszą, żeby pan Henryk wyzdrowiał; jemu wszyscy pomagać gotowi, żeby się głupstwo zrobiło. Mazurowicz domyslać się musi: a trzeba go znać: to bydlę, ale wściekle; może napaść w lesie, na drodze i zabić.

Zamyślony marszałek nie mówił słowa.

— Ale cóż za kobieta! zawołał po długiem milczeniu.

— Jasnie panie, odparł, rękę podnosząc, stary Żyd. Kobieta, kiedy ma w sercu miłość albo nienawiść, straszniejsza od mężczyzny. To głupi człowiek, że się z nią ożenił.

— Cóż na to radzić?

— Ja nie potrafię—rzekł Szmul.—Jedna jest tylko osoba, któraby rozumem i sercem mogła tu dać radę, ale tej się takich rzeczy mówić nie godzi.

— Panna Cecylia?

— Tak jest — odparł Żyd. — Pan Bóg ją sam tej familii zesłał. Takich kobiet na świecie mało. Ona—dodał z zapalem — wie jasny pan co, ona warta być... mężczyzną.

Mimowoli uśmiechnął się marszałek, który z ludźmi pospolicymi nie zwykł był szafować patetycznością i bywał jak go Bóg stworzył.

— Na mężczyznę byłaby zapiekłą.

— A na kobietę — dodał Szmul — ona jest za rozumną.

Przebijalo się w tem Salomonowskie, biblijne pojęcie o kobiecie. Zamilkli chwilę; marszałek rozmyślał.

— Poszlijcie po Julka—zawołał—wszak Julek wie o listach?

— On sam je do miasta odnosi—szepnął Żyd, i wnet otworzył drzwi, aby zawołać myszuresa. Marszałek rozmyślił się, że najlepiej było posłać konie, które stały przed gospodą, i natychmiast przez okno dał rozkaz kamerdynerowi. Szmul tymczasem starego wina przyniósł i pomarańcz, bo dawnym obyczajem wielce był gościnny.

W dobry kwadrans zdyszany i zdziwiony Julek się zjawił, w oczy patrząc wujowi. poco go jeszcze mógł wzywać. Szmul zaraz się wysunął.

— Julku. kochanie moje — odezwał się pan Boleśław; tam u was. z obawy aby Cesia nie podsłuchiła. mówić z tobą otwarcie nie mogłem. Ja wiem o wszystkim...

— O czym?

— Henryk odbiera listy od Mazurowiczowej.

Julek się zaczerwienił.

— Ja o tem nic nie wiem.

— Ty je przynosisz.

Chłopak kłamać nie umiał.

— No, gdyby i tak było... Oni się kochają; onby umarł. żeby od niej nie miał wiadomości. a ja miałbym bratu nie posłużyć?

— Ale czy to się godzi?

Julek popatrzył na wuja długie i nśmiechnął się. Byli z sobą dosyć poufale... zbliżył mu się do ucha.

— Wujaszku—rzekł — a pani Krawczyńska?

Zerwał się marszałek trochę obrażony.

— Co ty tam pleciesz! zawołał. — Wiesz na co się Henryk naraża i ty jego? — na śmierć! Mazurowicz o wszystkim wie i przy pierwszej sposobności nie bię się, ale zabić gotów.

Spoważniał Julek.

— Ja na to nie poradzę, rzekł. Henryczka nie na świecie wstrzymać nie może—żaden strach, żadne niebezpieczeństwo.

— Słyszałeś o liście, który był przyczyną śmierci babki?

— Wiem, coś o nim mówiono.

— Pisał go Mazurowicz — to pewna. Nikczemuik, który śmiał rzucić się na starą, biedną, szanowaną powszechnie osobę—nie zawaha się...

Julkowi oczy zapalały.

— Mazurowicz, on był przyczyną śmierci babki? Dobrze wiedzieć, kochany wuju... dobrze wiedzieć, bo się przyjdzie porachować z tym panem. Henrysia uczynił nieszczęśliwym, skaleczył go. Babci śmierci był przyczyną; już ci mu to bezkarnie ująć nie może.

Marszałek, który spodziewał się naprawić, postrzegł że popsuł sprawę; począł więc prosić i zaklinać. łagodzić i tłumaczyć, że w oczach prawa, w oczach ludzi, Henryk z całą swą miłością był przecie winien, a Mazurowicz usprawiedliwiony... Dla spokoju siostry, rodziny, dla uniknięcia nowych klęsk, należało zerwać stosunki i zemstę zostawić samej wypadków kolei, zapewniającej aż nadto, że Henryś znajdzie mściciela.

Julek, pozornie czy istotnie, dał się ukołysać, a wreszcie przyrzekł, iż powoli na brata wpływać się będzie starał.

— Ale niech wujaszek nie myśli, żebym ja miał wielką nadzieję Henryka przerobić... Przyznam się, że gdyby mnie tak kto pokochał, i ja bym był nie lepszy.

Marszałek zmilczał, czuł bowiem że był także grzesznym i lękał się znowu jakich przypomnień. Zakończył rozmowę uściskiem.

— Mój Julku, proszę cię, bo widzisz... do czego te skandale? Ludzie i tak na was koso patrzą, przyjaćiół do zbytku nie macie... Dla Henryczka świat otwarty... znajdzie inną. Tak mu mów, proszę cię... i żeby tym listom dał pokój. Niewiedzieć co! niewiedzieć co.

Na tem się rozmowa skończyła. Pan Bolesław wyjechał, spoglądając ku pałacowi i wzdychając na wspomnienie pięknej siostrzenicy, co także nie było przykładnem, a Julek zwolna pociągnął ku swojej pustce.

V.

Od czasu upadku majątkowego rodziny, która wprzód całą okolicę zamożnością i życiem wytwornem gasiła, wszyscy ci co ją objadali, co się łasili około starościca, co mieli się za szczęśliwych, gdy ich do Zawiechowa zapraszano, powoli od niego usuwać

się zaczęli. Otwierały się oczy. znajdowano że upadek ten spowodowany był własną winą; w postępowaniu osób, dawniej uwielbianych, odkrywano wiele niedorzeczności. wad. zdrożności... Do prawdy fałsz się domieszał... prysnęli przyjaciele domu i znikli. W miarę jak majątek się zmniejszał. interesa stawały trudniejsze, nsuwało się sąsiedztwo, i ludzie przestali przyznawać się do dawnych stosunków. Nabywać się tylko starano rozprzedawane folwarki. jak można było najtaniej.

— Nie skorzystam ja. skorzysta drugi... to daremna rzecz; wolę przecie sam wziąć tanio, co się ma innemu dostać.

Tak mówili wszyscy.

Horyszkowie dziwnie byli nieporadni i zaślepieni; szli do zguby jakby fatalizmem pchani, nie umiając się bronić, a w końcu z rodzajem bezmyślnej rozpacz.

Kto nie potrafił naówczas z ruiny skorzystać. stawał się nieprzyjacielem jawnym. Zmyślano dziwy na rodzinę, której największą winą było to. że nie umiała wyrzec się w porę swego dawnego stanowiska, odwołać do skrzętności i pracy, przyznać do zubożenia i pracować, aby mu zaradzić. Do ostatniej chwili wyglądano jakiegoś cudu Opatrzności, sukcesyi niespodzianej, wielkiego losu na loteryi, bodaj odkrycia zakopanego skarbu, nie umiając tylko rachować na siebie i własne siły.

Odstąpienie dawnych przyjaciół musiało zrodzić żal i narzekania, a z tego urosło rozdrażnienie obustronne. W chwili śmierci starosciny Horyszkowie nie mieli, oprócz ks. Kulebiaki i Szmula, niko-

go, coby się mógł nazwać przyjacielem domu i pozostałej rodziny. Zaczynał doktor Hordziszewski, który považał wielce pannę Cecylią, chłopców zawsze jeszcze nazywał trutniami i był tego przekonania, że to marnie poginie.

Mniejszaby o to było jeszcze, że na przyjaciółkach zbywało. gdyby miłość Henryka nie rozbudziła nienawiści. Stary Sławczyński jemu przypisywał domowe swe nieszczęścia. nieznośne pożycie córki z zięciem. a zajądły Mazurowicz podzegał go jeszcze. wiedząc lub domyślając się stosunków żony i kładąc starremu w uszy nieustannie, że się tego paskudztwa z powiatu pozbyć potrzeba. Mazurowicz nie miał tam jednak wielkiego miru między ludźmi i sam nie mógł nic; odgrażał się tylko, że przy pierwszej sposobności w łeb palnie Henrykowi.

— Tak, tak — odpowiedział Sławczyński — i pójdziesz do turmy. do kryminału. Tu trzeba sobie radzić inaczej. aby to śmiecie wyforować.

— Niechże ojciec radzi—wołał Mazurowicz. bo jak Boga kocham, byle ozdrowiał, a na oczy mi się nawinał. nie wytrzymam...

— Milczałbyś — bąkał stary. — Co to za gadanina! At, w głowie jak w Pacanowie... pleciesz. sam nie wiesz co. Mnie to zostaw.

Rad też nierad. zięć musiał zdać na teścia owo wyforowanie z powiatu Horyszków. Byłby może wreszcie gniewom i zemście sfolgował. ale żona przy każdej sposobności drażniła go nie do zniesienia. Stał się pośmiewiskiem ludzi; nie śmiał nikogo do domu zaprosić. bo mu sceny wyprawiała przy gościach. Wszystko

to szło na rachunek Henryka. Gdy się na niego odgrażał przed żoną, to mu odpowiadała:

— Ja jego znałam i kochałam wprzód, niż się ten pan Mazurowicz zjawił; on do waćpana żal może mieć, a nie pan do niego. Pociąg sam biedy szukał, zabierając gwałtem, co się komu innemu należało.

Obchodzenie się żony, która męża nigdy prawie inaczej nie zwała tylko panem i okazywała mu wzgardę, do wściekłości go doprowadzało. Ojciec się odgrażał, matka, już trochę przestraszona, starała się nłagodzić córkę — ale wszystko to zapóźno przychodziło. Pani Hanna, raz wszedłszy na tę drogę, egzaltowała się swoim heroizmem coraz bardziej. Stary Sławczyński i Mazurowicz nie widzieli innej rady, tylko „tych Horyszków precz ztąd wymieść... precz!”

Stary Sławczyński był to szlachcic-dorobkowiec w całym znaczeniu tego wyrazu, bo nie tylko majątku, ale jakiej takiej ogłady po świecie się dobił. Początkowo, ledwie z niższych klas wyszedłszy i trochę liznąwszy łaciny, nie miał więcej nic nadto, co z trzech pierwszych klas wynieść można. W miarę jak mu majątku przybywało, jak z ludźmi obcować począł, przy zbierał wiadomości, szczególnie prawniczych. Nie obeszło się żadne kupno bez procesu, trzeba było spraw dopilnować. Roztropny człek nabył rutyny pieniężnej i sposobików na ludzi. Uparty, skryty, choć charakteru gwałtownego, w potrzebie umiał się zmiętygować i wytrzymać a zamilczeć. W środkach nie przebierał; nie popełnił nigdy nic, za coby jawnie mógł odpowiadać, ale delikatności i szlachetności w postępowaniu trudno u niego było szukać.

Mieszkał od dosyć dawna w okolicy. a będąc świadkiem stopniowej ruiny i upadku Horyszków. sam nabywca części ich majątku. doskonale znał wszystkie interesa. Skutkiem postanowienia. aby Horyszków precz wykurzyć z sąsiedztwa. było to przekonanie. że trzeba koniecznie odebrać im to gniazdo w którym siedzieli.

— Póki oni tu kąt będą mieli—mosanie. mówił. my się ich ztąd nie pozbędziemy. to daremna. Trzeba depesedować.

Sławczyński. raz to postanowiwszy. nikomu przedwcześnie nic nie mówiąc. zaraz się wziął do rzeczy. Przyszło mu na myśl. iż słyszał niegdyś. że między mieszczanami zawiechowskimi a ekonomią dawną był stary proces o grunta. Za życia starosty zaniechano go. skutkiem różnych wpływów. a potem nie odnawiano. czy z powodu przedawnienia. czy też że na Horyszkach nic do ntargowania nie było. Pusty pałac niewart był tego. co mogło kosztować jego utrzymanie. Sławczyński. wiedzący o wszystkim. wiedział też że rząd szukał nabycia murów na lazaret i mógł je dobrze zapłacić. Z tych pokombinowanych okoliczności ułożył się plan wcale zgrabny nabycia od mieszczan zgasłej pretensyi za bezcen. odnowienia procesu i zrobienia niezłego interesiku ze sprzedażą murów.

Pomysł był genialny; wszystko jednak zależało od wykonania. Z mieszczanami sprawa nie była łatwa. bo obudziwszy ich uwagę. można się było narazić na zbyt wysokie ocenienie pretensyi. Z drugiej strony należało się zapewnić. że mury nabyte zostaną.

Co do tego ostatniego punktu. Sławczyński był przygotowany choćby na stratę.

— Pal ich diabli — mówił w duchu — byłem to paskudne plemie ztąd wyrugował, a już choćby się ten stary chlew przy mnie został... mniejsza z tem.

Sławczyński zanadto był przebiegły. ażeby wprost do mieszczan się sam udać. Nawykł w interesach nigdy prostemi nie chodzić drogami. Z powierzchowności człek rubaszny, gadatliwy, niby otwarty i niezręczny, miał ten talent, że się daleko wydawał głępszym. niż był w istocie. Ludzie też niebardzo się go wystrzegali i dobrze mu się z tem działo.

W wielu sprawach pomocny mu był sekretarz Machceńko. Wyrachował sobie, iż z nim i przez niego najłatwiej dojdzie do celu. Chwile wolne, jak wiadomo, spędzał Machceńko najczęściej w restauracyi. Bilard i gawędka. coraz nowe twarze. które się tam spotykało. rozrywały go po biurowej pracy. Sławczyński, choć nie zajeżdżał do Szmula, bo się za coś na niego gniewał, do restauracyi czasem zachodził. Udał się do niej i teraz, za przybyciem do miasteczka. Wszedłszy, obejrzał wszystkie kąty. sapiąc, ale sekretarza nie było. Spytał kelnera o niego: odpowiedział że tylko co go nie widać. Kazawszy więc sobie dać jesć. stary czekał. Jakoż niebawem zjawił się pożądanym, w wyśmienitym humorze.

— Pana sędziego dobrodzieja! zawołał.

— Kochanego sekretarza — jakże mi miło! Toż to kopę lat! — rozstawując ręce, w których nóż i widelec trzymał, zawołał Sławczyński.

Machceńko był rezolutny i wesół czasami.

— Czy nie za interesem? zapytał, śmiejąc się. Tobym bardzo w porę przyszło... Owsa dla koni potrzebuje... no i...

— Co będziesz pił? zapytał gościnnie sędzia.

— Szklanę ponczu—odparł Machceńko.

— Hej ty, Moryc! ponczu dla sekretarza.

Machceńko był człowiek dziwny: ani zły. ani dobry. Nie miał w życiu sposobności wyrobić się ani w jednym. ani w drugim kierunku, a natura go stworzyła tak, że lubił—przekorę. Spłatać figla. było dlań największą w życiu rozkoszą. szczególnie gdy się go kto nie spodziewał. Nie znał większej przyjemności, nad wyprowadzenie innych w pole. Często na tem tracił nawet. ale wstrzymać się nie mógł.

Gdy siadł z cygarem naprzeciw brzuchatego, opasłego szlachcica, pierwszą myślą, jaka mu do głowy przyszła. było:—coby jemu za finfę puścić? Finfą nazywała się u niego każda trafna sztuczka.

— Interesu to ja żadnego nie mam tak dalece — mówił, zajądając. stary—jak mi Bóg miły; ale gdyby się interes trafil, tobym nie był od tego. Nie ma co robić, a tak to człek gnuśnieje.

— Sędzia szukasz biedy i guza?

— A no — guz za guz; choćby się i oberwało. to się odda. byle nie próżnować.

Zaczęli się obaj śmiać, ale tak głośno. tak długo. tak zawieszisto i donośnie, że Moryc aż pode drzwi przybiegł, podsłuchać co to było. A był-to wprost ten rodzaj śmiechu, który zastępuje myśl, lub zapełnia przerwę w rozmowie. Obaj patrzyli sobie w oczy.

— No, panie sekretarzu, dajcie wy mnie jaki interes. Wezmę, jak Boga kocham, wezmę... Nie mam co robić...

Machczenko ramionami ruszył. Była chwila milczenia.

— Wiecie co? przyszła mi myśl do głowy. Chcecie? będzie i owies dla koni. i dla mnie guz... i wszystko.

— A co? zapytał Machczenko. pomysławszy. o cóż idzie?

— Tu, przed jakimiś laty piętnastu. szesnastu...

— Eh! eh! stare dzieje!

— Ale ba, z gałganów starych robią nowy papier, a na papierze asygnaty drukują — rozśmiał się Sławczyński.

I znowu zaczęli się śmiać okrutnie. Śmiech był w ich rozmowie rodzajem przyprawy, czy sosu, bez którego się obejść nie mogli.

— Cóż to było przed szesnastu laty? spytał sekretarz.

— Ot co było — począł Sławczyński. Mieszczanie mieli proces o grunta z Horyszkami. Naówczas te łapserdaki byli jeszcze w pierzu i zdusili sprawę. Dlaczegożby miasteczko nie miało się teraz o swoje upomnieć? Ot i sprawa... a jeśli zechcą, to ja nabędę pretensją.

Sławczyński z krzykliwego śmiechu i głośnej mowy, przeszedł do szeptu prawie i oglądał się jeszcze, czy kto nie słucha. Wyplunawszy już co miał na myśli, dopiero się spostrzegł, że mu to wypadło jakoś niezbyt zgrabnie.

Machczenko w duchu sobie powiedział:

— Aha!.. tędy... to już wiem. — I dodał równie poufnie do samego siebie:—Zjesz ty diabła!

— No. no—odezwał się głośno—wiecie że to tak sprytna rzecz, jak rzadko... A no! ja z burmistrzem pogadam.

Ale ostrożnie! dodał Sławczyński. Mnie to tak. niewiedzieć zkąd, na razie przyszło. dla żartu... ot. aby się bajdużyło. A no kto wie, możeby co i było z tego.

— Czemu nie? rzekł Machczenko, jedno oko przy-mrużając i puściwszy niby przypadkiem dym z cygara w same oczy sędziemu.—Jakby się udało pałacysko im zabrać, toby (tu się ręką zasłonił) na lazaret kupili.

Sławczyński udał zdziwionego.

— Co? jaki?

— Nie wiecie?

— Cóż ja o lazarecie wiedzieć mogę?

I począł dojadać sosu, zgarniając go chlebem i wycierając talerz do czysta.

Milczenie trwało chwilę. Owa bujna wesołość zupełnie się wyczerpała. Sławczyński był nierad, że go zrozumiano.

— A to lotr, proszę, mówił do siebie—proszę, żeby tak zaraz wiedzieć gdzie raki zimują.

Machczenko przypatrywał mu się.

— Mam pogadać z burmistrzem? spytał.

Jakby z zamyślenia wychodząc nagle, stary głowę podniósł i spytał:

— Co? co? dalipan zapomniałem.

Zdało mu się to bardzo sprytnem, ale — jak mó-

wił Machceńko — przeholował. Łatwo się już było domyśleć że kłamał.

Rozmowa przez jakiś czas rwała się, zawiązywała, wracała nawet do epizodów owego głośnego śmiechu, dających czas do namysłu. W końcu jednak Machceńko się napewno domacał, że szło o nabycie pretensyj od mieszczan. Zasiedzieli się, tak rozmawiając do późna. Slawczyński, który po staremu w to wierzył, że się najlepiej interesu przy butelce robią, bo butelka pozwala potem niedobrze sobie przypominać tego, czego się nie chce pamiętać — kazał dać starego węgrzyna. Obaj trochę sobie podchmielili; ale do ponczu nawykły sekretarz nabył tylko trochę śmiałości, a sędzia stał się niepotrzebnie gadatliwym.

— Choć ja tam o tem nie myślałem — rzekł w końcu — i już na starość chleba mam dosyć, ale interes byłby niezły... i dla pana sekretarza, i dla mnie. Czyby zarobek był, czy nie, to zawsze tych łotrów z pod ciemnej gwiazdy, tych Horyszków. preczbym z powiatu wygonił. Już oni mi tu siedli.

I pokazał na gardło.

Machceńko chciało się śmiać, ale minę zrobił smutną i dodał:

— Już to prawda... panna Hanna...

— A no, co tu przed przyjacielem tacić? Córkę mi bałamucił, o włos że ślubu z nią nie wziął... Ale dał mu Mazurowicz dobrze; liże się, liże, bodaj się nie wyliżał! Ja ich, chybabym żyw nie był, wykurzę. Niech idą z torbami... niech idą!

Sekretarz głową tylko potakiwał, ale doszedłszy już do dna i zgruntowawszy o co chodziło, powiedział sobie:

— Niedoczekanie twoje!

Podali sobie ręce. Sławczyński chciał kazać dać jeszcze jedną butelkę, ale sekretarz odmówił. Na jutro w porze obiadowej mieli się zejść, dla pomówienia ze sobą.

Rozpocząwszy tak szczęśliwie sprawę, Sławczyński poszedł spać. Człek był pobożny; zmówił pacierz głośno i zakończył go myślą szczęśliwą, że ofiaruje cztery świece funtowe do obrazu cudownego w Zbirowej, byle Horyszków z torbami puścił.

— Tak mi Boże dopomóż. dam! nie pożałuję! i jeszcze na wotywę solenną. Hanna. jak go tu nie będzie, do rozumu przyjdzie i z mężem zacznie żyć jak Bóg przykazał.

Nazajutrz. oddawszy kilku znajomym wizyty. pochodziwszy z rękami w tył założonemi, dla powagi, po miasteczku, w godzinie obiadowej przybył Sławczyński do restauracyi. Zastał już w niej Machczenkę. Nim się rozmowa zaczęła, kazali kimlu przynieść. bo miał być na obiad chłodnik.

— A co? zapytał sędzia.

— Zagailem sprawę—rzekł sekretarz, ale jest sęk.

— Jaki sęk?

— Najprzód zdaje się że przedawnienie zaszło; ale na toby radę można znaleźć, bo da się tam może w akta co wcisnąć...

— A jużciż! a jużciż! nie bez tego. gdy potrzeba!—rzekł poważnie sędzia. Toć tu nie o żadne oszukaństwo chodzi. tylko o formalność. Z czystem sumieniem.. słowo daję! z czystem sumieniem!

— Ale gorsza jest rzecz—rzekł cicho sekretarz. — Mieszczanie mają pretensyą do masy. A przy ostat-

niej eksdywizyi to co się pozostało Horyszkom uwolniono od wszelkich ciężarów. masa je wzięła na siebie... więc—dokończył—kto odpowiada? pan, co jesteś nabywcą części majątku. no i drudzy.

Sławczyński się za głowę pochwycił i podskoczył do góry.

— A niechże piorun trzaśnie! Tośmy gotowi beknać, jak się mieszczanie obudzą.

— Kat-że to wiedział, jak sprawa stoi, zawołał sekretarz z miną kondolencyjną. — Właśnie z waszego rozkazu, mówiąc z burmistrzem. mimowolnie...

Sławczyński aż się zerwał od stołu i począł chodzić po izbie wielkimi krokami.

— A toby dopiero było. żebym sam sobie takiego godu wyprawił... Ale szczęściem jest przedawnienie.

— Tak — odparł Machceńko — ales pan przecie uznał, że z czystem sumieniem możnaby...

Sławczyński wybuchnął.

— Jam to powiedział? ja? Jakto. akta fałszować?...

Machceńko parsknął śmiechem, aż zaniósł się, ale sędzia nie miał najmniejszej ochoty mu wtórować; kręcił głową i koło szyi coś poprawiał. Szczęściem chłodnik przyniesiono.

— Ale asindziej—odezwał się po chwili Sławczyński—nie mówił burmistrzowi nic kto, co. jak... o mnie?

— Owszem. wspomniałem mu, że sędziabyś ich pretensją mógł przejąć.

— To się źle stało — mruknął markotno Sławczyński—bardzo źle!

— Nie ma o czem mówić, kiedy nie da się zrobić—odparł sekretarz.

Obiad przeszedł nie ochoczo. Jedną tylko butelkę postawił sędzia i sam pił mało, uskarżając się na ból głowy z gorąca. Sekretarz też, figla splatawszy, prędko go pożegnał. Nastąpił kwaśny porachunek z Morycem, który większą jeszcze goryczą nappełnił serce Sławczyńskiego. płacił bowiem oba rachunki razem, wczorajszy i dzisiejszy, a pierwszy wypadł mu nad miarę wielki.

— Bo to... mości panie, mówił, odchodząc — bo to chłda, pije bez miary ta kancelarya. Daj ich katu z ich gardłem i ich rozumem!

Wyszedłszy na rynek, Sławczyński nie wiedział już co robić. gdy—jakby na toż. burmistrz mu się nastręczył. Był to młody człek. dosyć zamożny i chociaż syn rzemieślnika, wykształceniu był winien, że go ludzie szanowali. Miał tylko tę wadę, że szlachty nie lubił, i gdy jej dokuczyć mógł, czynił to z prawdziwą przyjemnością.

— Otóż i burmistrz—rzekł w duchu sędzia. Trzeba mu się wyprzeć tej sprawy, żem o niej jako żywo nie myślał i ochotę mu do niej odebrać.

Pośpieszył więc na powitanie. Spotkali się w samym ryuku.

— Cieszę się bardzo, że oto pana tu znajduję, odezwał się sędzia—bo pragnę się wytłumaczyć...

— Wytłumaczyć? z czego? spytał burmistrz.

— A co to tam plótl panu Machceńko, bo on to wziął ze swojej głowy.

— Ale co takiego?

— Interes o którym on mówił z panem.

— On ze mną o żadnym nie mówił interesie.

Sławczyński osłupiał.

— Kiedyż to być miało? pytał mieszczanin.

— No. dziś... o tej głupiej pretensyi.

— Nie nie rozumiem.

Spojrzał w oczy burmistrzowi Sławczyński i wziął go pod rękę.

— Może na chwileczkę zajdzie pan do mnie.

Poszli razem do zajazdu. Sławczyński dygnitarza posadził na kanapie i ostrożnie sprawę zagaił.

Sekretarz o niej, jak się okazało, nie mówił nawet z burmistrzem. Rzecz stała wcale inaczej: pretensye nie były przedawnione i nie stosowały się do masy.

Odetchnął sędzia. Zdało mu się że zdrajca Machczeniuko komu innemu pewnie chciał narać sprawę całą. Przysiadł się więc niezwłocznie do burmistrza, dowodząc mn że miasteczko z tego nic nie zyska i niczego dojść nie potrafi. że pretensya funta kłaków nie warta. ale przyznał się do tego. iż gotów ją podjąć, przez zemstę na Horyszkach.

Dobicie npadłej szlachty zanadto się uśmiechało burmistrzowi. aby się nie chwycił tak wybornej sposobności. Obiecał sprawę przedstawić i dołożyć starania o ustąpienie pretensyj sędziemu.

W chwili więc gdy już był stracił nadzieję wszelką, Sławczyński znalazł się prawie u celu i w duchu ponowił ślub uczyniony. postawienia czterech swiec funtowych. Nie chciał już nawet odjeżdżać do Błotkowa. dopóki by czegoś pewnego nie miał. a choć go kilkodniową zwłoką burmistrz straszył, odparł że i tydzień siedzieć gotów.

W pałacu, po śmierci starościny, przez parę dni wszystko pozostało w dawnym stanie. Panna Cecylia złamaną była wypadkami i zbyt znękaną, aby o czemkolwiek pomyśleć mogła. Henryk, który po raz pierwszy o kuli zszedł do babczynej trumny, powoli już przechadzać się próbował. Noga zraniona nie miała władzy zupełnej, lecz Hordziszewski czynił nadzieję, że się ona da odzyskać.

Po dwóch dniach walki z sobą, panna Cecylia trzeciego ranka wstała z mocnem postanowieniem wzięcia się do porządku, obejrzenia pałacu i obmyślenia co by się z niego uczynić dało. W pustce takiej mieszkanie było niedogodne, smutne, groziło zresztą ruiną, którą każdy dzień czynił bliższą. Pałac, jak mówiliśmy, ze starych murów ekonomii i myśliwskiego zameczka przerobiony, stał na maleńkiej wyniosłości, frontem obrócony do miasta. Przy ostatniej restauracyi na przyczółku jego przyklepione gipsatury, dziś w znacznej części pootłukane, w których się wróble i jaskółki wygodnie gnieździły. Wystawiały one połączone herby Horyszków i starościny, otoczone awanturami, chorągwiami, kotłami, rogami obfitości i godłami, które się już dobrze teraz rozpoznać nie dawały. Gmach był bardzo rozległy, z dwoma bocznemi pawilonami, z dziedzińcem w pośrodku, którego czwartą ścianę stanowiły stajnie i wozownie. Wyschła, ocembrowana sadzawka, w której niegdyś miał być wodotrysk, środek jego zajmowała.

W pałacu tylko część głównego korpusu jeszcze była mieszkalną i jeden róg od ogrodu: — reszta stała z oknami pozabijanemi, pustą, lub zarzuconą gruzem i sprzętem bez wartości. Kilka izb w jednym skrzydle

zajmował żyd na magazyn zbożowy. Dach, dawniej gontowy. w znacznej części pokrywała teraz słoma. Oprócz tych kilku pokojów i sal które zajmowali starościna. Piotruska. a na górze chłopcy, panna Cecylia reszty prawie nie znała. Przypominała ją sobie dzieckiem, ale wówczas te ciemne izby. korytarze. sale tak dla niej były straszne. iż nigdy do nich nie zaglądała. Należało to wszystko obejrzeć i starać się uczynić użytecznem. Miasteczko się murowało, cegła i kamień były mu potrzebne. Zostawując główny korpus nie-
tkniętym. sprzedać można było materiały pozostały. Nikomu to za życia starościны na myśl przyjść nie mogło. gdyż staruszka nie byłaby dozwoliła ruszyć jednej nawet cegły... Klucze od tych wszystkich pustek były przy Piotruskiej.

Zaprosiwszy Julka do pomocy. panna Cecylia poszła po nie do starej sługi. Ta już kręciła się w kuchni. ust, jak zwykle, nie zamykając i gderząc na dziewczynę.

— A to miie Pan Bóg pokarał takim leniuchem, śpiochem i mrnkiem jak ty jesteś. Jak do muzyki. na chichotki... o, to aż się oczy śmieją... a do roboty... chora. Dam ja ci choroby. dam!

Wtem Julek wszedł, prosząc o klucze.

Piotruska nie zrozumiała jakie, a gdy się dowiedziała że miano obchodzić pałac. trwoga ją ogarnęła i lzy się puściły.

— Niech idą. niech rewidują wszystkie zakomarki, niech sobie robią co chcą... dziej się wola Boża! Ja już nie poradzę! Wywróć pałac do góry nogami. Młodym w głowie świta... Ale ja tego nie scierpię... niech lepiej oczy moje nie oglądają, jak się pastwić

będą. Pójdę do szpitala, za jałmużną, gdziebądź—aby na to nie patrzeć... Ledwie ją do grobu złożyli...

Zaczęła głowę trząść i płakać, zapomniawszy nawet o dziewczynie, która, ujrawszy ją we łzach, sama też się rozplakała, nie wiedząc czego.

Julek, któremu nigdy na myśl nie przyszło, żeby coś około pałacu przedsiębrać można, zadziwił się, słysząc Cecylią mówiącą tak śmiało o sprzedaniu spustoszonych skrzydeł, poprawieniu środka, uporządkowaniu wszystkiego. Bo i ogród i dziedzińce potrzebowały ogrodzenia, i dachy nowego pokrycia. Boczne gmachy były w takim stanie, iż o zachowaniu ich pomyśleć nie było można. Z wyjątkiem sal na magazyn najętych, zaciekało wszędzie, sufity poopadały, a belki wisiały nad głowami, grożąc upadkiem. Posadzki ktoś powydzierał; pokradziono co tylko się spieniężyć dało; żelazo nawet, tkwiące gdzieś w ścianach, powyrywano z nich dawno. Dla ocalenia reszty, należało tę chorą część ciała poświęcić.

— Sprzedana cegła da nam fundusz na pokrycie i restauracyą skromną środka. W jednym skrzydle od południa będzie mała cieplarnia, która przy ogrodzie naszym koniecznie jest potrzebna.

Julek słuchał zdziwiony.

— Ale cóż ci się sni, Cesiu?... ogród, cieplarnia... kiedy my na życie ledwo mamy.

— Mówiłam ci przecie — będziemy ogrodnikami — zawołała Cecylia.

— Prawda, słyszałem coś o tem, uśmiechając się, rzekł Julek; lecz ci się przyznam, że to za żart wziąłem... Handel, ogród... Nie!

— Ja już po ogrodnika posłałam. odezwała się Cesia. — Oczekuję go co chwila i sama z nim rozpocznę. Jeszcze gdy byłam w Warszawie, nasz pałac, ogród i nasza bieda na myśl mi przychodziły. Usunłam to sobie zawczasu. Moja dobra przyjaciółka, pani L.....a. przyklasnęła myśli mojej i wzięła ją gorąco do serca. Zaczęliśmy szukać ogrodnika i znaleźliśmy starego Wielkopolanina, który od lat dziesięciu w Warszawie i po wsiach prowadził sady i oranżerye, zakładał ogrody. Zrobiłam z nim warunkową umowę.

— Więc—krzyknął Julek zdziwiony—to już zaszło tak daleko?

— Przypomnij sobie że nieboszczka babka zgodziła się na moje ogrodnictwo.

— A ja, przyznam ci się, nigdy tego nie brałam na seryo.

— Julku mój drogi, westchnęła Cesia, życie ludzkie jest tak seryo... tak seryo, iż uśmiech w niem wydaje się niepojętą rzeczą, czemś prawie nieprawdopodobnem... Jam się nauczyła brać wszystko tak, jak każe ta smutna rzeczywistość co się nazywa życiem. To dola, na którą skazani jesteśmy za grzech pierworodny. Nie pracą nas Bóg ukarał — praca jest dobrodziejstwem, ale walka poezyi ducha z prozą powszedniego życia. Poddać się jej, a nie zbrukać nią... dłonią grzebać w ziemi, a duszą i myślą być w niebie — to nasze zadanie!... Patrz, mój bracie: jedni padają w tym boju na błotnistym zagonie, twarzą w kał.. i już nad kał nie widzą; drndzy idą z oczyma podniesionymi ku niebu i lecą kędyś w przepaści. Nam, skazanym na walkę, trzeba jedną ręką orać na życie powszednie, drugą na wieczne się modlić!

Mówiła tak natchniona. z oczyma zwilżonemi, i Julek. który się uśmiechał w początku. spoważniał. Uderzyło mu serce—zrozumiał pierwszy raz. że życie ma cel i że bez steru i żagla z łódką na morze rzucać się nie godzi.

Cesia postrzegła wrażenie jakie jej mowa uczyniła i uśmiechnęła się. nie chcąc odrazu zbytnią surowością zrażać brata.

— Julku mój — rzekła. wyobraź sobie nas wszystkich troje siedzących na tych gruzach. które dokoła opadają. i płaczących bezsilnie. starzejących się w nędzy i znużeniu życiem próżniaczem. Cóż to za okropna dola!.. Postaw obok tego nas troje. budzących się zrana do zajęcia. czynnych. śledzących owoc i postęp swojej pracy. wesółych z dopełnionego obowiązku, wyprzedzających się do roboty. pomagających sobie wzajemnie... O. wierz mi, mogą nas spotkać zawody—może się nam wieś lub iść trudno i twardo; ależ nie jest-że rozkoszą łamać się z tem co staje na drodze i zwyciężać?

Chwilę szli milczący przez stary ogród.

— Lecz najprzód, dodała — zacząć od tego potrzeba. aby Henryka ztąd wyprowadzić. gdzie dla niego życie jest zbyt trudnem. wspomnienia zbyt bolesne. Rok. dwa spędzone nad nauką. uspokoją go i wróci do nas dojrzałszy. Twoim obowiązkiem. jako brata. skłonić go do tego. przekonać że inaczej być nie może. Henryś nawet może się prędzej wyleczyć w Warszawie. Damy mu listy polecające... Niech jedzie. niech coprędzej jedzie!

Julek szedł milczący, poważniejszy niż zwykle.

— Moja droga Cesi — rzekł. ty jesteś rozumiejsza od nas, to pewna. Ja. słuchając cię. uczę się i wstydę, że dotąd myślał zamało. że żył tylko sercem.. Ale ty sercem nie żyłaś wcale, tyś w pracy zapomniiała o wszystkim, tyś nie kochała nigdy. a Henryk...

Cesia zarumieniła się mocno: głosu jej zabrakło.

— Mylisz się. Julku. rzekła otwarcie. Nie znasz życia mego. Przed tobą jednym na świecie, boś moim bratem. bo chcę abyś mnie znał taką jaką jestem, przed tobą jednym powiedzieć mogę — mylisz się. Biedne moje serce biło. kochało. a oczy plakały... lecz nigdy nie straciłam panowania nad sobą. Tam gdzie miłość musiała walczyć z obowiązkiem. nie wahałam się na chwilę ofiarą okupić spokoju sumienia i godności mojej. Tego samego wymagam od Henryka.

Coraz cięższym mówiąc głosem. wreszcie spuściła oczy i szła milcząca. jakby pod ciężarem wspomnień bolesnych. Julek był wzruszony; wziął jej rękę i ucałował ją w milczeniu.

— Cesi moja. ja przed tobą klękam!

Pocałowała go w czoło.

— O nie! zawołała — bratem mi bądź. daj mi dłoń i idźmy razem do celu! Padliśmy... zagrzebani w gruzach; własnymi rękami dobądźmy się z nich. a jeśli siły nie starczą. umrzyjmy na wyłomie. jak poczciwemu rodowi przystało. Czemże ród i szlachectwo? to różaniec wspomnień i przykładów. Nie żeбраć nam. ale walczyć! Rycerstwo dawne bojowało z nieprzyjacielem na polu kości usłanem; my bądźmy rycerzami ducha, co wszystkie rycerstwa. co wszystkie stworzył szlachetności i szlachectwa. Walczmy ze świata po-

gardą. walczmy z opuszczeniem, walczmy z urągowskiem. z niedostatkiem... z sobą samymi... bo walka tylko jest życiem, bo bez niej życia nie ma. Gdy oręż wypada z dłoni — a i pług jest orężem... dłoń idzie w grób. choćby żywą była.

Mówiła z zapalem. oczy jej płonęły. Julek chwycił myśli i słowa.

— Tak—odpowiedział—do dziś dnia byłem najleniwszym z ludzi; ale od jutra będziemy pracowali... nieprawdaż?

Cesia się roześmiała radośnie.

— Pójdźmy nawracać Henryka! zawołała.

Wesoło jak dzieci pobiegli. wyprzedzając się. ulicą ogrodową. Piotruska, która stała w oknie, postrzegła to i ruszyła ramionami.

— Waryaty ta młodzież! I to chce tu gospodarować!.. Świszczypałki! choćby i ta panna Cecylia. i tej w głowie pstro.

Całemi dniami rodzeństwo siadywało u łóżka Henryka. Cesia przynosiła tu robotę, książki, a częściej jeszcze wszystkie myśli które w braci przelać chciała.

Z Henrykiem szło ciężiej. choć się nie sprzeciwiał. Słuchał milczący. napozór zgodny, nie wypowiadając swych myśli. ale siostra czuła, iż go ująć i przekonać nie mogła. Były chwile gdy się zdawał poddawać jej radom i woli. lecz zostawiony sam sobie. wracał do marzeń. któremi truł się i żywił.

Julek. który zupełnie już teraz zamiary siostry podzielał, pracował zosobna nad bratem, w chwilach gdy byli sami. Nie mógł jednak wymódl na sobie. aby go pozbawić listów od Hanny, nie umiał odmówić po-

średnictwa w przesyłaniu odpowiedzi. Te listy żywiły w piersi Henryka najdziksze marzenia. Zgadzał się wszakże na wyjazd do Warszawy, a Cesia, choć nie śniła powodów wyznać doktorowi, błagała go, ażeby pozwolenie wyjazdu przyspieszył. Henryk o kulach już chodził, zdawało się jednak iż podróży nie zniesie, a odbywać ją musiał nie inaczej, jak na prostej bryczce trzęsącej, bo innej nie mieli. Stare powozy, oddawna nieużywane, choćby je można było poprawić, wymagały więcej kowi i kosztu znaczniejszego do podróży. Prosić marszałka o pożyczenie lepszego a wygodniejszego Cesia nie chciała i nie dopuściła. Musiano czekać.

Tymczasem list od pani L. ozuajniał przybycie ogrodnika starego, który z ciekawością wiekuistego włóczęgi jechał poznać kraj nowy.

— Bo to ja, proszę pani, mówił na wyjeździe do pani L.—spenetrowałem już niemalą kątów. A gdzie ja ogrodów nie zakładał i ogrodników nie uczył! Na wołowejby skórze nie spisał. Niechajże na starość i pod tę puszcę białowieską zawlokę się... a jużcie i tam ludzie żyją. Zobaczymy. Jakoś to będzie.

Wszystko troje po niejakiem czasie marzyli o przyszłym swym zakładzie. Julek chciał mu już udać jakieś imię dźwięczne i pociągające... Henryk, na uczczenie Cecylii, radził nazwać Cecylinem... Śniły im się przesliczne kwiatki, a siostra rozповідаła o cudownych orchideach.

Liczyła się, ale sam na sam tylko, aby nie przstraszać braci, czy jej zapracowany grosz starczy na podróż Henryka, na założenie ogrodu, na pokrycie palacu, na mnóstwo niezbędnych przy nowym zakładzie

wydatków. Miała oprócz grosza. kosztowne podarki z tych domów. w których te lata przebyła i gotową była rozstać się i z niemi. sprzedać bez czego tylko obyć się mogła. Liczyła wszystko, codzień prawie na nowo rozpoczynając rachunki i dodając sobie otuchy.

Wtem jednego ranka. gdy jeszcze była w swoim pokoju, zastukano zlekka do drzwi i stary Szmul wszedł. ale tak błady i pomieszany. tak jakoś widocznie nie swój. drżący jakimś poruszeniem wewnętrznem, że Cecylia. spojrzawszy nań. wstała przestraszona.

— Panie Szmul, czy nie chory jesteś?

Żyd ręką tylko dał znak że nie, bo mówić nie mógł. Podparł się na łasce, głowę spuścił i dumiał długo.

— Siadaj pan — zmęczenie... gorąco...

Szmul znowu ręką zaprzeczył, aż sił nabrawszy, głowę podniósł. wdychając.

— Przyniosłem wam... złą wiadomość. odezwał się; ale nie ma chwili do stracenia. jeżeli jeszcze ratować się można.

— Na Boga! przerwała Cesia. — Cóż uas jeszcze więcej dotknąć może? Straciliśmy wszystko.

— No. został państwu ten muru kawał, ten kawałek ziemi, dach nad głową, dodał Szmul — swój dom. a tego może nie wie nikt, co znaczy swój dom, kto nie był bezdomnym. Wam i to chcą odebrać.

— Jak? kto? przecież to jest własność nasza!

— O! zły człowiek zawsze może zrobić co zechce. Mnie się w głowie zawraca. Któż o tem pamiętał, że tu był niegdyś proces z miastem o grunta? Kto o tem wiedział? Dwadzieścia lat nikt się nie upominał.

Cecylia ręce załamała i padła na krzesło.

— Miasto — ciągnął żyd dalej; ale miasto do dziś duiaby się o to nie upominało. Zły człowiek to zrobił, zły człowiek to nabywa. Za godzinę może kontrakt podpiszą.

— Kto? z kim? zawołała Cesia.

— Sławczyński nabywa tę pretensyą. to dosyć powiedzieć... Jeżeli on dziś to kupi, jutro was ztąd wypędzi.

— Więc na to nie ma ratunku? spytała Cecylia.

— Nie ma żadnego — odparł Szmul z boleścią. nie ma żadnego. Próbowałem ja, starałem się, biegałem, ale zrobiłem tyle tylko. że mi Machczenko obiecał przeciągnąć podpisanie umowy może do jutra. Nie dał mi słowa. ale uczynił nadzieję. Myślałem... Sławczyński jest tu, on to czyni przez zemstę... któż wie...

Żyd dokończyć nie śmiał.

Panna Cecylia zrozumiała go, domysliła się i zerwała z krzesła.

— Mam iść? zapytała.

— Nie wiem—rzekł Szmul cicho i nieśmiało. — Jeżeli się to na nic nie zda. — a sądzę że z tym człowiekiem i wy nic nie poradzicie—to na cóż macie się narażać na jego grubiaństwo i dawać mu pociechę pomśczenia się jeszcze strasniejszego.. w żywe oczy?

— Tu nie o mnie idzie—odpowiedziała Cecylia. narzucając chustkę i biorąc pośpiesznie kapelusz—idzie tu o los rodziny. o pamiątki dla nas drogie. Miałabym sobie do wyrzucenia. gdybym zaniedbała co jest w mocy mojej. Poprowadź mnie—wskaż—idę!

Stary żyd stał w progu. patrząc na nią z poszanowaniem i litością. Nie mówił słowa. Cesia ubrała się prędko, cała drżąc ze wzruszenia. i wyszła.

Po drodze nie spotkali nikogo i niktby jej też był nie poznał. bo szła ubrana skromnie, zakwefiona i chyba postawa szlachetnaby ją zdradziła. Szła tak żywo, że stary ledwie mógł za nią podążyć. W rynku wskazał dom, doprowadził do drzwi, i gdy te się otworzyły, sam pozostał w sieni. Cecylia weszła śmiało, odrzucając z twarzy zaskonę.

Sławczyński. oczekując na godzinę wyznaczoną mu do podpisania umowy. nadąsany że ją zwleczono, siedział porozpinany. bez chustki, na kanapie. Przed nim stała szklanica grogu. Straszny był dzikim twarzy wyrazem. Na widok wchodzącej do pokoju nieznamomej kobiety, której piękność, ruchy. ubiór domysłać się kazaly położenia w świecie nierównie świetniejszego niż ono było w istocie. zdumiony sędzia przypuszczał zrazu, że to była omyłka. Poruszył się nieco.

— Pan sędzia Sławczyński? odezwala się Cecylia, której rozpacz dodawała odwagi.

— Tak jest, zawołał, spinając surdut naprędce i wysuwając się z za stołu stary, nie wiedząc jeszcze wcale z kim miał do czynienia. Czem służyć mogę?

Odetchnąć potrzebowała śmiała kobieta, nim mówić zaczęła.

— Moje nazwisko powie panu. z czem przychodzę — odezwala się, wlepiając w niego oczy. Jestem Cecylia Horyszko.

Sławczyński zmieszał się nieco. Schwyciło go to

niespodzianie. Oczy spuścił i sparł się o stół. nie wiedząc jeszcze jaki przybrać ton i postawę.

— To cóż. odparł—to cóż?

— Może być żeśmy przed panem zawinili — zaczęła Cecylia—aleśmy odpokutowali za to ciężko. Pragniesz pan jeszcze zemsty nad nami. chcesz nas zgubić. wydziedziczyć, wygnać. wiedząc że jesteśmy bezbromni i biedni. Panie sędzio—czy to po chrześcijańsku?

— A. to waćpanna mnie będziesz uczyła moralności chrześcijańskiej? podchwycił, zaczynając się brzyć. sędzia.

— Nie chcę pana uczyć, chcę ją państwu tylko przypomnieć i chcę upokorzona prosić go za moją rodziną.

Sędzia się trochę zadumał.

— Ja nie potrzebuję przypominania żadnego, a co mam raz postanowionem. tego u mnie nikt nie odprosi. Cóż to, niewolno mi kupić co się podoba, kiedy jest do sprzedania? Mam tym łaski świadczyć, co mi życie struży? Nie—z tego nie będzie nic. Proszę mi dać pokój!

Odstąpił od stołu w głąb izby na kilka kroków.

— Panie sędzio—zaczęła Cecylia—mój brat oddał się z tych stron... wyjedzie. na to mu słowo daję.

— Wy wszyscy ztąd precz pójdziecie, wybuchnął przypomnieniem Henryka rozdrażniony Sławczyński. Tak jest. ja was wszystkich ztąd precz wyrzucę. Sze-roki świat... nabroiliście tu, więc idźcie gdzieindziej. gdzie was jeszcze nie znają. Z Panem Bogiem.

Cecylia wlepiła w niego oczy. Spojrzał na nią i musiał wzrok spuścić.

— Panie sędzio — zawołała — jeszcze raz was proszę: nie bierzcie na sumienie nieszczęścia rodziny.

— Biorę, biorę, wezmę... nie złękę się tego. Na sumieniu jestem czysty, a ludzie mi podziękują, gdy się pozbędziem ztąd tych, co nam czynili zakałę.

Cecylia potrzebowała całej mocy ducha, aby te w oczy sobie rzucane obelgi wytrzymać. Kilka razy chciała się już cofnąć, lecz z dało się jej że jeszcze nie dosyć uczyniła.

— Bóg nas wszystkich sądzić będzie—rzekła—pamiętajcie o tem. Nie jesteśmy może tak bezbronni, tak osieroceni, jak się wam zdaje; za uciśnionymi przemówią ludzkie serca... odezwie się wasze własne sumienie, do którego się jeszcze raz odwołuję... Henryk winien, tak jest—dodała—ale on nie byłby na taki krok się odważył, gdyby go nie ośmielono. Niedosyć wam żeście zabili naszą babkę...

— My? zakrzyczał sędzia, rzucając się—my?

— List bezimienny świadczy, rękę poznać łatwo. Przy tym liście, odebrawszy go, skoła—mówiła Cecylia. Ten list jako dowód chowam...

— Ja o liście żadnym nie wiem nic — ponuro odparł sędzia — ja do was żadnych listów nie pisałem.

Widać po nim zakłopotanie było pewne... lecz wnet gniew go ogarnął znowu.

— My—zawołał—razem żyć tu nie możemy... albo wam, albo mnie ustąpić ztąd trzeba... Idźcie w świat. Dobrodziejstwo wam czynię... Weźmiecie się przynajmniej do pracy. Tu robić nie ma co, a w pustce pomrzecie z głodu.

— Zostawcie to nam — odrzekła spokojnie Cecylia...

Sławczyński, burząc, chodził w kącie izby.

— Ale proszę mnie do ostateczności nie przyprowadzać—rzekł, zwracając się. Waćpanna tu nie wyprosisz nic — nie pomoże żadne zakłęcie... Nie ustąpię... dosyć!

I wskazał na drzwi.

Cecylia nie ruszała się z miejsca.

— O nic już nie proszę—rzekła. — Zrobiłam to, co mi nakazywał obowiązek; poniżyłam się aż do błagania człowieka bez serca i bez litości. Jest Bóg. on rozsądzi między wami a nami, między uciśnionym a tym, co zna zemstę tylko. Wspomnisz pan może kiedyś tę godzinę i pożałujesz jej, bo mocniejsza od naszej dłoń pomści się za nas.

Wyrazy te, wymówione uroczyście, podziałały na starego: spuścił głowę i zawahał się; ale w tejże chwili podniósł ją i wybuchnął głośniejszą zapaleczywą niż wprzód:

— Uwolnijże mnie waćpana od nauk i od proctw! krzyknął. — Cóż to jest znowu? nie nawrócisz mnie waćpanna. a zmusisz tylko do powiedzenia jej jeszcze czego nieprzyjemnego.

— Chciałabym to posłyszeć—zawołała Cecylia, aby wypić kielich swój do kropli. Proszę-ż nie oszczędzać mnie.

Sławczyński spojrział; zdawało się że zaczął mówić, ale się zawstydził.

— To osobliwsza pretensya—począł nawpół sam do siebie... Co ja mam za powód ustępowania waćpani-stwu? Ja ich nie znam dziś i znać nie chcę. Na tem koniec.

Cesia zarzuciła na twarz zasłonę. Nie odzywała się już wcale i powolnym krokiem ku drzwiom postępując, wyszła.

Sławczyński pozostał w miejscu, nierad z siebie widocznie i podrażniony; chwycił się za głowę, strzepnął rękami, pośpieszył ku drzwiom i z pasyą je zatrzasał. Potem, sapiąc, wrócił ku kanapie i siadł na niej, podpierając się łokciami na stole.

— Niech gadają, niech wygadują... Jak ich tu nie stanie, zapomni się wszystko. Byłbym głupim żebym ustąpił. Po co? na co? dlaczego? niech giną... niech giną!

Pomimo tych urywanych wyrazów, twarz jego zmieniona, rysy przeciągnięte, ręce drżące, oczy zbłąkane dowodziły, że z tem sumieniem, do którego się odwoływała Cecylia, nie był w zgodzie zupełnej.

— Mazurowicz ten list pisał do starościny, bąknął sam do siebie... głupie chłopisko! Żeby był dał komu przepisać. A to się oni z tym dokumentem nosić będą... Marszałek go w ręce dostanie — to sprawa brzydka. Z Mazurowicza ekonom dobry, nie ma co mówić, ale głowa do pozłoty, a zapalczywe lichó. Lecz tem-ci bardziej ustąpić nie można, bo myśleliby żeśmy się zlekli. Marszałek znowu tak bardzo ich bronić i za nimi ujmować się nie będzie. Jemu też z tem na rękę pewnie, że się utrapionej opieki i wydatku pozbędzie. Chybabym go nie znał. I po namyśle dodał: — Co się stało, to się stało... Precz ztąd! i będziemy pokój święty mieli... a jak ich nie stanie, to się wszystko zatrze i pogoi. Jużci bez krzyku być nie mogło i bez lamentu — ale ktoby tam tego słuchał? Niech ruszają w świat.

Całej tej rozmowy mimowolnym świadkiem był Szmul, stojący przed nieszczelnie zamkniętymi drzwiami. Gdy panna Cecylia wyszła i oczyma suchemi, ale palającemi dziwną energią i odwagą nań spojrzała, ścisnęło mu się serce z litości.

Wyszli z sieni. Biedna dziewczyna, której najdziwniejsze myśli i środki ratunku przelatywały przez głowę, szła zadumana, ale śpiesząc, do domu, gdzie nagle jej wyjście mogło braci nabawić niepokoju, lub, gdyby się przyczyna jego przed czasem wydała. Julka pobudzić do jakiego nierozważnego kroku.

Szmul zlekka ją za rękę zatrzymał.

— Panienko, rzekł, póki umowa nie podpisana, zawsze czegoś próbować można. Ja zwlekłem do jutra, a gdybyś panna chciała sama słowo dobre powiedzieć sekretarzowi Machceńce? To niezły człowiek, onby dla panny zrobił więcej niż dla mnie, onby jeszcze dui kilka mógł podpis przeciągnąć... a wtedy możnaby posłać sztafetę po marszałka... albo... kto wie? inne jakie znaleźć sposoby.

— Gdzież go znaleźć? spytała Cecylia.

— Sekretarz jest na dole w restauracyi — zawołał Szmul. Niech panienska wejdzie tylko do sieni mojego domu, aby na rynku nie zobaczył kto rozmowy, a ja sekretarza wyprowadzę.

I stary, zapomniawszy o swych latach, prawie pobiegł, wyprzedzając swoją protegowaną. Cecylia poszła za nim. Po chwili Machceńko bez czapki wybiegł z restauracyi.

Nigdy on zbliżka nie widział panny Horyszkówny. Spojrzawszy na nią, na jej piękność, na powagę, przejęty wrażeniem jakie ten ideał na nim uczynił.

stanął pokorny i oniemiały. Panna Cecylia w najświetniejszych salonach wydawała się taką. dla ludzi nawet, którzy już w żadne ideały nie wierzyli; można więc sobie wyobrazić jak olśniła kancelistę, który chyba zdaleka mógł oglądać podobne zjawisko.

— Uczyniono mi nadzieję, odezwała się Cecylia, wyciągając ku niemu rękę, której on nie śmiał się dotknąć — że znajdę w panu opiekuna. Jesteśmy sieroty... chcę nam wydrzeć ostatni nasz przytułek. ostatnią okruszynę. jaką nam pozostała. Panie, przychodzę was prosić o jedno tylko: starajcie się zwlec podpisanie tej umowy. a ja nżyję wszelkich środków jakie są w mocy mojej. aby zapobiedz ruinie. Proszę pana, ratuj nas. jeśli możesz.

Dźwięk tego głosu. wejrzenie błagające, podana ręka, w uniesienie wprawiły sekretarza. Chwycił się za piersi prawie głosu mu zabrakło.

— Pan! choćby przyszło głową nałożyć! jak Boga kocham... wnet lecę i przeszkodzę... Ile?... tydzień trzeba? niedoczekanie ich! nie będzie z tego nic, daję słowo!

— Uczynisz pan chrześcijańskie dzieło miłosierdzia i Bóg to wam za nas wypłaci. a ja do zgonu wdzięczną mu będę. Wstrzymaj pan dni kilka... uczyn co możesz, a koszta, jeśli jakie będą, chętnie poniosę.

Machceńko się oburzył.

— Koszta? jakie koszta być mogą? Żadnych w świecie, złamanego szeląga! Daję słowo — niech pani będzie spokojną; lecę w tej chwili.

— Staniesz się naszym dobroczyńcą -- dodała Cecylią.

— Będę najszcześliwszym. gdy potrafię usłużyć, daję słowo... proszę polegać na mnie.

To mówiąc z odwagą rzucił się na rękę panny i ucałowawszy ją, pobiegł jak szalony.

Cesia uśmiechem podziękowała staremu Żydowi, który swobodniej odetchnął, i zwróciła się ku drzwiom.

— Niech pani pisze do marszałka, szepnął Szmul — nie ma rady! On jeden tu coś może. Ja wyprawię sztafetę.

VI.

Pożycie państwa Mazurowiczów było nieustającą wojną, która młodej pani zdawała się prawie pożądaną — bawiła się nią i znajdowała w niej dziką jakąś przyjemność. Mąż dochodził czasem do wściekłości... naówczas piękna Hanna śmiała się z niego niełitościwie.

— Dobrze panu tak! wołała — pociąg mnie brał. mimo woli mojej? Wiedziałeś przed ślubem co cię czeka.

Po rozmowie ze starym Sławczyńskim, gdy się dowiedział później Mazurowicz, że sprawa przeciw Horyszkom. dla wywłaszczenia ich, już została rozpoczęta, tryumfujący przyjechał do domu. Chciał tem oczy wykluć żonie, lecz przez cały dzień nie spotykali się, tylko u obiadu. Hanna siedziała zwykle na kluczu zamknięta w swoim pokoju. Mazurowicz niecierpliwie

czekał. by dano do stołu. Żona, spojrzawszy nań, poznała odrazn. że musiało mu się coś udać uczynić jej na przekorę, tak był wesół i szyderski.

Pod koniec milczącego obiadu, w czasie którego gburowate chłopisko pozwoliło sobie poświstywać dla przepędzenia czasu. a Hanna siedziała. nie patrząc nawet na niego, Mazurowicz, gdy słudzy wyszli, rozśmiał się głośno.

— Gdzie to Hanna listy teraz będzie posyłała, jak tu pana Henryka i ich wszystkich nie stanie?

Żona śmiało na niego spojrzała.

— Tak. tak—dodał—ojciec się do nich wziął. a on nie popuści... będą musieli precz iść, bo im ten murowany chlew ich zabierzemy i pójdą z torbami. Tak, tak!

Zbladła pani Mazurowiczowa—choć jej przywiązanie do Henryka było tylko fantazją. którą upór podtrzymywał: ale niewieście serce ulitowało się i obmrzyło na to prześladowanie całej rodziny. dla znęcania się nad nią. Zimno odpowiedziała mężowi:

— Nie będzie pana Henryka. to będzie kto inny... Młodych chłopców nie braknie. co się we mnie kochać zechcą. a na złość wam pierwszego lepszego wezmę. Wszystkich trudno powypędzać z powiatu.

Mówiła to niby spokojnie. ale głos jej drżał i powieki się zwilżyły. Mazurowicz zaciął wargi.

— Jednemu się w nogę dostało. drugi po łbie oberwie. a trzeci, jak się nawinie, po sercu... Kul jest dosyć i ręka mi się jeszcze nie trzęsie.

— I do pana też kto strzelić potrafi. a niezawsze chybiają i inni... zobaczymy.

Wstała od stołu... Mąż postrzegł, że się pochwyciła za głowę i musiała oprzeć na krzesle. bo się pod nią nogi zachwiały. a w głosie czuć było łzy. Na te oznaki czułości wpadł w większą jeszcze wściekłość. Nie patrząc na niego, wyszła Hanna z pokoju. a w kwadrans potem służąca biegła z listem do stajni. Mąż czatował w oknie i dognał ją, nim go wysłać pośpieszyła.

List był do matki. Nie wahał się Mazurowicz rozpieczętować. ale w nim nic nie znalazł, oprócz zaklęcia. aby Sławczyńska natychmiast przybyła. Pominiawszy się że drażnić żony więcej jeszcze nie należy, pozwolił wysłać pismo do Błotkowa i przed wieczorem nadjechała matka. W ganku ją przywitał zięć, którego zimno się pozbyła, spiesząc do córki. W progu pokoju rzuciła się jej Hanna. płacząc. na szyję.

— Matusiu! zawołała—ratuj! ratuj! bo zginę!... Oni za mnie. za tego nieszczęśliwego Henryczka. chcą całą rodzinę gubić. Pan Mazurowicz mi się z tem przyznał. Ja tego nie zniosę! ja oszaleję! Jeżeli ojciec ich wypędzi z Zawiechowa, ja. przysięgam. ucieknę w świat z domu... Nie chcę ich mieć na sumieniu! — poczęła wołać, jak obłąkana. — To wszystko spadnie na mnie. Jedźcie do ojca i powiedzcie mu. że jeżeli on ich zgubi. to córkę własną zgubi... Ja się utopię, ja się otruję!

Mazurowicz słuchał podedrzwiami.

— Oto ze mnie bałwan! rzekł sam do siebie; trzeba się mnie było z tem zawczasu wygadać! Bodajem był sobie język odkąsił... One tu biedy nawarzą.

Miedzy matką a córką wszczęła się cichsza rozmowa, której nie posłyszał już mąż. W pół godziny go przywołano. Znalazł żonę nadąsaną, zapłakaną, ale nieco spokojniejszą, a matkę, jak zawsze, poważną i dumną.

— Słuchaj acan. panie Mazurowicz, odezwiała się sędzina—kochana Handzia robi panu propozycją. Jeżeli skłonisz ojca do tego, że kroków przeciw tym biednym Horyszkom zaprzestanie. to daje panu słowo. że z nim pojedzie razem dokąd zechcesz i pogodzi się.

Mazurowicz zrazu jeszcze się ofuknął nieco i począł narzekać, ale w końcu, choć mu nie smakowało to poświęcanie się żony dla Horyszków, przyjął warunki. kazał zaprzęgać i natychmiast miał wyruszyć do Zawiechowa. aby Sławczyńskiego wstrzymać. Żona mu podała na odjezdne rękę. czego od ślubu nie bywało, powiedziała dobitnie:

— Albo ich zgubicie i mnie razem, bo ja na sumieniu mieć ich nie chcę — albo dacie im pokój, a wtedy ja panu zgodę przyrzekam i będę taką żoną dla pana, jaką być potrafię. Nie będę go kochała. bo nie mogę. to darmo, ale się do niego przyzwyczaję i awantury dokazywać poprzestaniemy.

— Masz acan wóz i przewóz. dodała, z góry uśmiechając się matka. Zatem jedź i powiedz sędziemu odemnie. od Hanny i od siebie, żeby dziecku własnemu kamienia do szyi nie przywiązywał.

Mazurowicz. napół kwaśny, napół uradowany. polecał do Zawiechowa i kazał konie gnać. choćby padły. aby się nie spóźnić. Wojna z żoną już mu była dojadła.

Przed północą zaturkotała bryczka w rynku po bruku. Mało się już gdzie świeciło, zajechali więc pod stancją sędziego i ledwie się dobili do bramy. Zaspany żydek otworzył Mazurowiczowi, który wpadł jak opętany, obawiając się aby nie było zapóźno.

Sędzia spał, ale zaczęło do drzwi kołatać. Zerwał się, sądząc że gore... i wyleciał bosy, w koszuli. Zobaczywszy Mazurowicza i dowiedziawszy się że jego przyjazd tylko był przyczyną alarmu, zaczął od łajania go.

— Kaci cię tu przyniesli po nocy! czego? poco? Nie siedziałbyś w domu? Co ci jest?... Poderwał się, zważyował, czy co? Utrapienie z tym człowiekiem!

Mazurowicz ledwie mógł przyjsć do słowa. Trafił pod jakiś zły humor i na rozespanego, nie było więc końca łajaniu. Dopiero wysapawszy się dobrze, począł sędzia słuchać z czem zięć tak pędził, a słuchał w milczeniu posępnem. Wysłuchawszy, splunął i ramionami ruszył.

— Co tu o tem gadać? — zawołał — tu nie ma jeszcze nic—i niewiadomo czy co z tego będzie.

— No, to chwała Bogu! wykrzyknął Mazurowicz.

— Ale... milczałbyś, kiedy nie rozumiesz, zniżając głos, rzekł Sławczyński.—Nie trzebaż tego głosić, że tu się sprawa popsuka, a przed Hanną powiedzieć, że ja dobrowolnie ustąpiłem, dla świętego spokoju. A no, prawdą a Bogiem, kto, jak, co tu popsuka, nie wiem. Zęby mi wybierz — nie wiem. Mieliśmy już podpisywać, umowę kazałem na stęplowym papierze przepisać... gotowe było wszyściuteńko... jeszcze i kopistę musiałem sownie opłacić. Tymczasem nad wieczorem przychodzi do mnie z prośbami ta siostra ich. ta...

panna Horyszkówna. Powiedziałbyś że królewna. albo księżniczka. tak się nosi, takie to pyszne. a gada z partesów... niby z kazalnicy. Poczęła mnie Panem Bogiem. głupia, straszyć—smieniem. alem ją zgromił i przepędził. Myślę sobie: już mnie rozrachunek zostawcie. Nazajutrz idę do podpisu: burmistrza nie ma... Tknęło mnie to. Posyłam a posyłam, aż naostatek przybywa, ale taki. jakby go kto wczoraj na innego przehandlował... Powiada mi. że rzecz potrzebuje rozpatrzenia, formalności — to i owo, że trzeba zwlec podpisanie. Widzę że źle. Ja do worka... ale ani chce słuchać. Otóż masz status rei. Com się nadreptał, napocił. nie liczę. ale co pieniędzy darmo poszło...

— Przecież można dojść co się stało.

— Właśnie że niepodobna niczego się domacać... Od dnia do dnia wloką i milczą. Zdaje się więc że i takby z tego nic nie było

Sławczyński westchnął.

— Nie będzie ich można forować tym sposobem — dodał cicho—no to niech siedzą. niech siedzą! Już ja ci daję słowo, że im życie tu obmierźnie i sami się prosić będą na świeże powietrze... Tylko sza! cicho! nikomu uic; trzymaj język za zębami. żebyś znowu tak się nie spisał. jakąś razą. Kiedy głowy nie masz—bo nie masz—znaj to do siebie i języka zakąsuj.

Mazurowicz się nadał, ale nic nie odpowiedział. Przyniesiono mu siana na tapczan i położyli się spać.

Panna Cecylia. powróciwszy do pałacu, zamilczała zrazu wszystko przed braćmi i zamknęła się u siebie. Była zmuszoną uciec się do marszałka, wie-

działa że jej prośbie zadość uczyni, ale zaciągając względem niego obowiązki, było to dlań nad wyraz wszelki ciężkiem i wstrętnem. Przez te sześć lat nowicyatu na wielkim świecie zbyt wiele spotykała wejrzeń męzkich, skierowanych ku sobie, ażeby się na ich znaczeniu omylic mogła. Czytała w oczach marszałka płochę sobą zajęcie, chętkę zawiązania jakichś serdecznych stosunków, których początki byłoby wygodnie osłaniało pokrewieństwo, a końca ani on sam nawet nie widział jasno. Stary bałamut marzył, że mu to uprzyjemni życie i nie rozpatrywał się w następstwach. Dlatego panna Cecylia chciała być o ile możności niezależną od niego, aby mu praw nie dawać żadnych do zbyt poufałych stosunków, do wymagań wzajemnych.

Musiała wszakże pisać, prosić i może nawet być mu winną ratunek. Łzy się jej potoczyły z oczów. Była to może pierwsza ciężka nad wyraz ofiara dziesięć dla spokoju rodziny. Marszałek, ze swą demonstracyjną czułością, gadatliwością, egoizmem i pychą, obudzał w niej prawdziwy wstręt, którego zwyciężyć nie mogła.

Ale on jeden członkiem był rodziny, on jeden miał znaczenie i mógł coś dla nich zrobić... Rada nie-rada, siadła list pisać. Julka, który nadszedł, odprawiła pod jakimś pozorem i drżącą ręką nakreśliła kilka słów malujących położenie.

Wśród pisania dopiero przyszło jej na myśl, że marszałek w tej sprawie był bardzo wątpliwym obrońcą, że właśnie dla zmuszenia Cecylii, aby dom jego przyjęła, dopuścić mógł sprzedaży Zawiechowa. Zga-

dzało się to z jego planami. a Cecylia naówczas zupełnie z braćmi zależała od łaski jego.

Krew rzuciła się jej do głowy... ale list trzeba było dokończyć i wysłać. Powiedziała sobie. obliczając co miała, iż w ostatnim razie z braćmi wyniesie się do miasta. Sumka jaką posiadała starczyła na pierwsze niezbędne potrzeby. To jej trochę dodało odwagi. Nie liczyła może na razie, że i los starej służgi zabezpieczyć było potrzeba, i ponieść kosztą podróży, i sprowadzonego ogrodnika. którego tylko co nie było widać. opłacić.

Na myśl jej to wszystko nie przyszło. Poszła. jak codzień. na górę do braci, przed którymi ukrywała katastrofę, nsiłując nie zmieniać nic w trybie życia codziennego. czytaniu i rozmowie.

Szumł. rozstawszy się z Cecylią w sieniach swego domu, zaledwie miał czas zajrzeć do sklepu położonego na dole. gdy dzwonek dał się słyszeć i powóz koniami pocztowymi zaprzężony zatoczył się przed austeryą. Gospodarz. wyjrzałwszy, poznał w służce i pannu, żądających pomieszkania. owego nieznajomego. który niegdyś zajechał tu na nocleg i nazajutrz nazad wyruszył. Podrażniony losem Horyszków, gniewny na cały świat. stary nierad był wcale, gdy go natychmiast kamerdyner zaprosił do pana hrabiego.

Szumł poszedł kwaśny... Los tych biednych wnuków starościńcy na sercu mu leżał. a do rozmowy ochoty wcale nie miał. Od pierwszych słów. gdy się przybyły zaczął dopytywać. czy nie słyszał o majątku jakim na sprzedaż... Szumł, powiódłszy ręką po czole. odparł grzecznie:

— Jasnie pan mi przebaczy. ale ja dziś chodzę przybity; ja aniby dobrze odpowiedzieć nie mógł.

— Cóż to waćpanu jest?

Szmul westchnął.

— Choć żyd jestem. panie grafie, ale serce mam, a tu mi się trafiło takie nieszczęście cudze, że ja na nie poradzić nie mogę. a ludzi mi strasznie żal.

Zagadnięty usilnie, Szmul opowiedział ze szczegółami historią Horyszków, której przybyły zdawał się słuchać z nadzwyczajnem zajęciem; owszem, podchwytował nawet i badał, jakby go to obchodziło serdecznie. Przyszło do zagrożenia wywłaszczeniem, do pretensyi miasta i do zamiarów Sławczyńskiego. Hrabia oburzył się niezmiernie.

— Ale czyż nie ma nikogo. coby chciał i mógł ich ratować?

— Jest jeden marszałek, ich krewny, rzekł żyd; ale prawdę powiedziawszy. choć człowiek dobry i uczciwy. mało mu ufam, bo zbyt wiele gada i obiecuje.

Rozmowa przedłużyła się nad wszelkie spodziewanie.

— Panie gospodarzu. odezwał się hrabia — gdybyś mi waćpan chciał pomódz, to poratowalibyśmy tę rodzinę. Szczerze powiedziawszy, jam szlachcic. może nawet zdaleka z uimi spokrewniony; czuję się w obowiązku, skoro mnie tu los tak przywiódł w porę, uczynić coś dla nich. Ale zrozumiemy się: nie chcę żeby żywa dusza o tem wiedziała.

Żyd wstał, mocno zdziwiony.

— Idź waćpan do burmistrza i oświadczyć mu od siebie, że dajesz o połowę więcej niż ten pan... jak on się

tam nazywa? W potrzebie daj dwa razy tyle co on—ja na to dostarczę funduszu.

Szumł nie mógł się wydziwić temu zrządzeniu Opatrzności, przychodzącej w pomoc Horyszkom, w osobie zupełnie obcego człowieka. Pobiegł do burmistrza, niosąc mu deklaracyą na piśmie.

Tymczasem Machczenko biegał ze swojej strony, aby interes powstrzymać. Burmistrz, tak oskoczony, zląkł się trochę. Stary Żyd wziął na siebie sprowadzenie sekretarza do pana hrabiego. Machczenko przyszedł późno, niepostrzeżony. Siedział sam na sam z hrabią z dobre pół godziny i wymknął się, nie wstępując nawet do restauracyi.

Trzeciego dnia potem Szumł został nabywcą pre tensyi, za summę dwa razy większą niżeli dawał Sławczyński, i tegoż dnia prywatnie prawa swoje przelał na hrabiego. Przez cały ten czas podróżny, ów, tak miłośnierny, ani się pokazywał w miasteczku. Dowiedziano się tylko, że przybył z zamiarem kupienia kłucza bobrynieckiego, dóbr znacznych, tuż pod Zawiechowem położonych, które rodzina jakaś podupadła sprzedawała. Była to właśnie ta majątność, o którą hrabia Sulejowski zapytywał listem marszałka.

Wezwany przez Cecylią, marszałek odpisał natychmiast, oświadczając się ze wszelką gotowoscą ku pomocy, ale zarazem w liście tym ubolewał, że urzędowa czynność na parę dni go przykuwa do powiatowej stolicy, dodając że gdy tylko będzie mógł—pospieszy. Czuć w tem było niezupełnie odpowiednie serdecznym listu oświadczeniom postępowanie. Zwłoka mogła być zabójczą.

Po tych kilku dniach marszałek. przybywszy pocztą, nie zajechał do pałacu. ale do Szmula. którego natychmiast wezwał, ażeby się dowiedzieć jak rzeczy stoją. Nim Szmul się mógł odezwać nawet, pan Boleśław począł gorąco boleć nad losem rodziny.

— A, nie uwierzysz, kochany, panie Szmul, co ja przez te dni wycierpiałem, nie mogąc przybyć natychmiast. Ale człowiek jest niewolnikiem obowiązku. Ja tych moich kuzynków tak kocham — wiesz — jak bałwochwalczo byłem przywiązały do tej czcigodnej starości... Ja dla nich gotów jestem do wszelkich ofiar... ale — między nami mówiąc — tu zniżył głos... prawdziwa to Opatrzność że ich wypędzają. Oniby tu zgnili... Pannę Cecylię ja biore do siebie; niech u mnie rządzi, panuje... będę pierwszym jej sługą. Julka zapręgnę do kancelaryi. Henryka gdzieś umieszczę na dzierżawie. Opieka ma dosyć majątków do administrowania. a ja dam kaucyą... Owszem, niech sobie tę rudere zabiorą.

Szmul słuchał cierpliwie.

— Zdaje się, panie marszałku — odezwał się, że jej może i nie zabiorą.

— Nie? sądzisz że nie? zimno odezwał się marszałek. trochę zmieszany.

Szmul spowiadać mu się nie chciał.

— Niech jaśnie pan od siebie uspokoi pannę Cecylią; mnie się zdaje, że się da temu jakoś przeszkodzić.

W twarzy marszałka widać było. że może niezupełnie był rad temu wypadkowi, lecz przyjął to naturalnie jako rzecz uspokajającą i swoich planów już nie powtarzając, zamilkł. Chciał tylko dobyć ze Szmula,

kto i jak poratował zagrożoną rodzinę: ale żyd pobałamucił i zbył go ogólnikami.

We dworze w Zawiechowie, chociaż Szmul додаwał otuchy, nic jeszcze z pewnością nie wiadano. Marszałek. korzystając ze zbiegu okoliczności. zużytkował to dla siebie.

Zajechał przed pałac i z tym samym pośpiechem i egzaltacją. jak dawniej do starościny. wpadł do Cesi.

— Kochana kuzynko—zawołał, zjawiając się w progu—oto jestem na rozkazy. Rzuciłem wszystko i z bijącym sercem pędziłem tu do was... O! mnie tu tyle drogich ciągnie wspomnień. tak święte obowiązki.. Spłakałem się. zobaczywszy Zawiechów i przypominawszy sobie drogą naszą zmarłą.

Cesia. płonąc się, słuchała go.

Siadł wreszcie, pot z czoła ocierając.

— Najprzód na wstępie—pośpieszył dodać—przynoszę wiadomość, bo już byłem w mieście i działałem, że. mimo wszystko co groziło. — niebezpieczeństwo przecie jest usunięte. Napadłem zaraz na urzędników, użyłem mojego wpływu i proszę mi wierzyć... nie dopuścimy do tego.

Piękną bardzo, trochę niemężką ręką uderzył się po szerokiej piersi z wielką gracyą i uśmiechnął do Cecylii, która szeptała podziękowanie, kłopotąc się długiem wdzięczności. jaki zaciągnęła względem niego.

Ponieważ dano znać o przybyciu kuzyna. Henryk o kulach i Julek zeszli na powitanie. Z drugiej strony pośpieszyła Piotruska. która równie jak starościna

miała słabość do marszałka. aby go pozdrowić ze łzami.

Marszałek się rozczał.

Podobnie jak piękną rękę, starał się okazać swe piękne serce, wylane dla rodziny. gotowe do ofiar, wzruszone niegodziwem postępowaniem nieprzyjaciół.

Rozmowa przeciągnęła się do wieczora późnego. Pan Bolesław, uspokoiwszy piękną kuzynkę. zabawiwszy ich opowiadaniem swych urzędowych czynów i trosk. pojechał na noc do Szmula.

Tu już mu mieszkanie przygotowano obok hrabiego. Pan Sulejowski dowiedział się zaraz o przybyciu marszałka. do którego w sprawie dóbr bobryńskich pisał. O pokrewieństwie jego z Horyszkami był już uwiadomionym, i wieczorem. gdy pan Bolesław wrócił do mieszkania. znalazł w niem bilet wizytowy hrabiego Sulejowskiego. Z listu był mu tylko znajomym. ale teraz, na widok karty jego, przyszło mu na myśl. że w ich domu ostatnie lata spędziła panna Cecylia i że to był ten człowiek, którego obwiniano o zakochanie się w jego kuzynce. a ją o rozprzężenie małżeństwa.

Przykre wrażenie na marszałku zrobił przyjazd w te strony obwinionego. którego z tego powodu istotnie posądzać było można o jakieś zamiary względem panny Cecylii. Marszałek, który za każdym zbliżeniem się do niej więcej się rozmarzał, doznał nader niemiłego uczucia.

Jeszcze się, tak rozmyślając. wpatrywał w bilet leżący na stoliku. gdy mu kamerdyner oznajmił, że

hrabia chce mieć przyjemność zaprezentowania mu się. Pan Bolesław niezmiernie tytuły szanował i zbliżenie się do większego świata. spoufalanie z nim było jedną z jego słabosci. Wyszedł więc naprzeciw gościa i dwaj panowie. prawie równie wyelegantowani, wyświeżeni. z tą różnicą, że hrabia mniej był mownym i wymownym, stanęli naprzeciw siebie.

Hrabia Sulejowski nie domyślał się wcale uczuć, jakie panna Cecylia obudzała w marszałku; wiedział tylko o blizkiem pokrewieństwie i chciał jak najuprzejmiej zbliżyć się do rodziny.

Z wielkim wdziękiem i wyszukaną grzecznością oświadczył, że czuje się w obowiązku przeprosić marszałka, iż nieznamy utrudzać go smiał listem, ale okoliczności tego wymagały... i t. p.

Marszałek pośpieszył skłamać, iż na list natychmiast ze szczegółami odpisał.

Listu tego, naturalnie nie odebrał hrabia, musiał gdzieś zaginąć... I zaczęto na tę nieregularność poczt naszych utyskiwać.

— Co się tyczy klucza bobrynickiego, dodał marszałek, dobywając najwykwintniejsze cygaro i ofiarując je gościowi — było to dla mnie zadaniem uader drażliwem powiedzieć coś na korzyść lub niekorzyść majątności, która ma i swoje ale i swoje za; lecz wogóle piękny to majątek, choć zruinowany, jak u nas wszystkie, wymagający nakładów znacznych...

Hrabia słuchał ciekawie.

— Czy pan hrabia zawsze trwa w zamiarze nabywania?

— Jestem z pewnych względów zmuszonym szukać kupna majątku—odparł hrabia. — Mam kapitał, który

chciałbym nmieszcć w ziemi. Majątek w którym dotąd mieszkaliśmy. dla osobistych moich okoliczności. stał mi się nie miłym; majątki w królestwie drogie...

Marszałek zmilczał. Kwaśno mu było.

— Oglądał go pan na miejscu?

Hrabia westchnął.

— Już nabycie spełnione... punkta podpisane.

— A! zawolał marszałek zimno — więc pozostaje tylko powinszować i cieszyć się tak godnym obywatelem. który nam przybywa.

Hrabia skłonił się lekko.

Rozmowa wszczęła się chłodna. o rzeczach obojętnych. Ludzie ci byli może nadto do siebie z pewnych stron podobni. ażeby mogli zbyt sympatyzować ze sobą. Hrabia miał więcej uczucia i szlachetności, więcej serca... ale zewnętrzną stroną obaj godzili się. tonem. wychowaniem, obejściem.

Sulejowski nie zapytywał wcale o rodzinę marszałka. on zaś wahał się coś o niej wtrącić. ciągle się sam siebie pytając. czy ma o Cecylii wspomnieć lub nie. Nareszcie zdało mu się, że zanadto blizkim był jej krewnym, by mógł niewiedzieć w jakim domu ostatnie lata spędziła. a milczenie o tem. mogło ściągnąć posądzenie. iż się czegoś domyślał.

— Pan hrabia mi daruje — wtrącił pod koniec rozmowy—gdy go spytam. czy d a l e k a moja krewna. panna Cecylia Horyszkówna. u którego z krewnych pańskich była guwernantką?

Hrabia z wielką przytomnością nmysln. jakby się spodziewał zapytania. nie zarumieniwszy się i nie dając znaku jak dalece go to obchodziło. odparł powoli i dobitnie:

— Panna Cecylia bawiła w naszym domu. Nadzwyczaj nam przykro było obojgu, a szczególnie żonie mojej. że stan zdrowia i potrzeba wypoczynku zmusiły pannę Cecylią do porzucenia nas. Dla mnie, gdyby była dłużej chciała mojem i córeczkami się opiekować. byłoby to wielką rękojmnią ich wychowania, którem się. niestety. niepokoje wielce. będąc zmuszony rozstać się z żoną i przy niej córki zostawić.

Powiedział to spokojnie. naturalnie. a marszałek. wyznaniem tem nieco zmieszany. zamilkł na chwilę.

— Wchodzę w nader przykre położenie hrabiego— rzekł nareszcie.

— Wspomniałem o tem — dodał Sulejowski — bo rozwód nasz całemu światu jest wiadomy i powody jego nikogo nie krzywdzą. Kazano nam się pobrać i musieliśmy żyć ze sobą. Związek ten był czysto konwencyonalny; lecz i żona moja i ja uczuliśmy. że mamy prawo od życia zażądać czegoś więcej, nad takie chłodne, choć na szacunku oparte stosunki.

Zwierzenia te nie wymagały odpowiedzi i pan Bolesław zmilczał. westchnąwszy tylko.

— Ja tu właśnie w interesie rodzeństwa panny Cecylii przybyłem. odezwał się, pomilczawszy. Ona i jej bracia zagrożeni byli wywłaszczeniem z ostatniego kąta. Szczęśliwy jestem. że jeszcze w porę przybywszy, mogłem temu uciskowi zapobiedz i im usłużyć.

Marszałek wcale niespodziewający się tego. by w siedzącym naprzeciwko siebie człowieku obcym i niedawno przybyłym. znalazł sprawcę oswobodzenia. pochwalił się niem niezręcznie i dał odrazu hrabiemu miarę swojego charakteru.

Usłyszawszy te wyrazy, hrabia się wyprostował: uśmiech niepostrzeżony przesunął mu się mimowolnie po nstach. Potem minę nastroił poważną, chłodną. oczyma trochę zdziwionemi popatrzył na antagonistę, wstał zwolna z krzesła i z tą samą grzecznością wyszukaną, ale nierównie ceremonialniejszą, nie chcąc już rozmowy przeciągać, pożegnał go i wyszedł.

Przechodząc sienią, hrabia smutnie się uśmiechał sam do siebie.

Marszałek pozostał zamysłony. Pomimo chłodn i uniarkowania w rozmowie, gdy szło o pannę Cecylią, czuł w tym człowieku rywala, i — chociaż położenie dawało mu wiele nad nim przewagi, sam przed sobą przyznawał, że z nim mierzyć się nie mógł.

Zamiast jednak ostudzić jego fantazją dla pięknej kuzynki, rozżarzyło ją to owszem. Marszałek czuł, że dla niej gotów był w istocie nie tylko do ofiar, lecz do zapomnienia się zupełnego, które mu się rzadko tra- fiało, gdyż był w ogóle człowiekiem, mimo swych unie- sień nader praktycznym.

Nadzwyczaj łatwy do zajęcia się łada twarzycz- ką, bałamut jakich mało, nieprzebierający w rozmaite- go rodzaju wdziękach i różnych sfer owocach — od skromnej wieśniaczki do podżyłej modnisi salonowej — pan Bolesław nigdy nie posuwał się na skrzydłach uczucia tak daleko, by mu to w ekonomice życia za- wadzać mogło. Spostrzegłszy, że następstwa seryo ze stosunku wynikały, cofał się nader zręcznie i z wielką łatwością przeszczepiał sentyment, który się zawsze odrazu na nowym gruncie przyjmował. Tym razem zajęcie się piękną siostrzenicą zaczynało już go także niepokoić, bo zbyt mocno nim owładło.

— A to istota o ile czarowna wdziękiem. o tyle zimna i sztywna. Najmniejszego nigdy uniesienia. żadnego znaku uczucia. Powaga, chłód... gdy w oczach płomienie, gdy w ustach coś tak uroczego, gdy dźwięk głosu jak muzyka chórów anielskich. Wyobrazić sobie — marzył dalej—tę śliczną Cecylkę. spartą o mnie na ganku, wśród ciszy wieczora, o wschodzącym księżycu... ja przy niej. dłoń w dłoń! Wiosenne przypominają się dzieje... odkwitłbym przy niej na nowo. Ale ręki dotknąć się nie daje: w oczy jej patrzę, to ze wzrokiem umyka: mówię dwuznacznie, rozumieć nie chce. Szanuje mnie jak istotnego wujaszka. gdy ja klękam przed nią.

Nie zrozpaczył jednak marszałek, który w siebie dosyć wierzył: zdawało mu się, że gdyby tylko zbliżył się do niej. gdyby żyli w jednym domu. widywali się codziennie, płomień który piersi jego rozżarzał. musiałby się udzielić i Cecylii. Do tego więc należało zmierzać, aby obmierzić jej pobyt w Zawiechowcie i skłonić ją do przyjęcia gościny u niego. Pan Bolesław sądził, że powoli dojdzie do tego.

VII.

W kilka miesięcy po opisanych wypadkach mógł dopiero pan marszałek. odbywszy, dla zasiadania w komitecie, urzędową podróż. która mu wiele czasu zajęła i dała poznać świat zupełnie nowy — powrócić na łono współobywateli. Przez cały ten czas, chociaż

piękną siostrzenicą, zawsze był zajęty. chociaż sobie obiecywał ściślejsze zawiązać stosunki—nie miał prawie wiadomości z Zawiechowa. Wróciwszy do domu, pytał znajomych, ale i ci mu nic jakoś powiedzieć nie umieli.

Znalazł wreszcie chwilę sposobną i uczuł się w obowiązku pojechania tam, aby się przekonać, jak też sobie panna Cecylja radę dawała. Dziwiło go niezmiernie, iż po przyrzeczoną pomoc od niego, którą on jakoś zaniedbał odesłać, nie zgłaszano się wcale. Nie musiało się nic złego stać przynajmniej — mówił w duchu. boby się byli udali pod moją opiekę.

Wieczorem późnym zajechał do Szmula, i zaledwie wysiadłszy, posłał, prosząc gospodarza do siebie. Stary już się rozebrał, ale dla uczczenia pawa marszałka wdział żupan czarny, wziął sobolową czapkę i powoli zszedł ze schodów.

— Jakże się tu macie? co słyhać, panie Szmul? — począł żywo, ujrzawszy go, pan Bolesław. — Co porabiają moi Horyszkowie?

— Chwała Bogu, wszystko dosyć dobrze — odparł stary, jakoś nie śpiesząc z odpowiedzią; a po chwili dodał: jaśnie pan Zawiechowa nie pozna.

— Jakto? dlaczego? — spytał zdziwiony marszałek.

— No, pan się jutro przekona. Co to mówić? tego opowiedzieć nie można.

— W czymże zmieniony?

— We wszystkim — odparł Szmul.

Marszałek zmieszał się trochę, myśląc, że te zmiany bez jego wiedzy i woli przysły do skutku. Zrobiło mu się przykro jakoś.

— Proszę cię, panie Szmul — rzekł — nie trzymajże mnie w niepewności i nie czyń tajemnic przedemną. Cóż tam takiego się stało?

— Nic złego — począł stary, zażywając tabakę i przeciągając tłumaczenie, nie bez pewnej złośliwości. Pierwsza rzecz, że pana Henryka dawno niema; pojechał uczyć się do Warszawy. Na nogę mało co kuleje, zresztą wygląda dobrze i pracuje słyszę wiele. Mówią, że z niego będzie człowiek.

Pan Bolesław stał milczący.

— Przepraszam cię, mój panie Szmul, ale o czemże pojechał? zkąd pieniądze? Odemnie ich nie żądali i mnie też przez ten czas w domu nie było.

— Mogę tylko pannę marszałkowi zaręczyć, że nie pożyczili od nikogo.

— Więc co? skarb odkopali? co u licha! — odparł opryskliwie marszałek. Waćpan wiesz najlepiej, że za nieboszczki starościny, gdyby, nie chwając się, nie ja nie byłoby co jeść.

— To prawda — rzekł Szmul — sama pani staroscina ciągle to powtarzała.

— A zkądże się mogło wziąć teraz?

— Zkąd? panna Cecylia niedarmo sześć lat pracowała: przywiozła z sobą co oszczędziła, a ze zwalonych murów sprzedana cegła, kamień, gruz, zrobiły też piękny grosz.

Pan Bolesław aż podskoczył.

— Z jakich zwalonych murów? gdzie? co? Kto mury zwałił? jakie?

Szmul wytrzymał atak z krwią zimną, posługując się tymczasem ogromną jedwabną chustką, którą trzymał w ręku.

— Ze starego pałacu został tylko sam środek—proszę jasnie pana — który po zrestaurowaniu wcale pięknie wygląda. Zobaczy jasnie pan jutro. Skrzydła, stare mury, wszystko co tylko pustką niepotrzebną stało, kupili podradczycy do budowy lazaretu i zapłacili, niema co powiedzieć — bardzo dobrze.

Marszałek milczał i stał jak słup.

— Czyż—to projekta? któż to o tem pomyślał?

Szumł się w czoło uderzył.

— Nu, ten co głowę miał, jakiej drugiej poszukać. A kto to ma być? kto, jeśli nie ta pauna, bez której nie byłoby nic?

— Pauna Cecylia?

I była chwila milczenia. Żyd spoglądał jakby z tryumfem; na twarzy marszałka znać było pewien rodzaj niezadowolenia, że się tu rządzone skutecznie i szczęśliwie, a bez jego rady i pomocy. Kobieta.. sama jedna! przechodziło to jego pojęcie.

— Cóż się z Julkiem dzieje? — spytał znowu.

— Pan Julian przy ogrodniku, razem z panienką.

— Przy jakim ogrodniku? — ofuknął marszałek. — A to coś nowego! Jakto? mój siostrzeniec ogrodnikiem?

Szumł zajrzał do tabakierki, widocznie dla zwłoczenia odpowiedzi. Musiało go bawić zniecierpliwienie marszałka. Nierychło usta otworzył i niejasno się wytłumaczył.

— Ja tyle tylko wiem — począł — że i pauna Cecylia, i stary ogrodnik, i pan Julian pracują bardzo około tego ogrodu, szkółek i oranżeryi, cieplarni i ananasarni... Co to już na to pieniędzy pójść musiał! Szły pocztą paki za pakami, nasion, flanc, nie wiem

już czego. Jest tam co robić i już dziś widać, że na rok przyszedł, albo za parę lat, nie będzie na okolicę. ba i po miastach wielkich, nic podobnego. jak tu panna Cecylia założyła.

Marszałek wybuchnął śmiechem głośnym.

— W tem — zawolał — znać kobietę. marzycielkę niepraktyczną i dziecinną. Do czegoż to podobne?

— Ja tego nie wiem — przebaknął stary — ale patrząc jak to idzie, miałbym ochotę wierzyć, że oni wiedzą co robią. Było kilkanaście morgów gruntu dokoła ogrodu. które najmowali mieszczanie; teraz to wszystko zajęte na szkółki drzew. zasiane. uporządkowane, a sam stary ogród. no. zobaczy pan jutro... niema na cały kraj ani piękniejszego. ani lepiej utrzymanego.

— Kimże to u licha robią? zkadże ręce? Ja nic nie rozumiem. Wsi przecież nie mają.

— No. dwóch, trzech robotników zawsze. zapłaciwszy dobrze. znaleźć łatwo. a zresztą. śmiech mówić — ale szczerą prawdą — pan Julian z rydlem i łopata panna Cecylja z nożycami i piłą. tak chodzą, jak każdy robotnik. A że sami robią. to i dozoru nie potrzeba.

— Fiksacya! jak mi Bóg miły! słowo honoru pofigksowali! — krzyknął marszałek. rozgniewany na dobre. Na pośmiewisko ludziom się dają! Do czego to podobne? Co powiedzą na mnie, że ja do tego dopuściłem? Skaranie Boże z tą kobietą!... Niema nic niebezpieczniejszego. jak się której głowa zapali... Prawdziwie widzę. że wczas tu przybyłem. ażeby zapobiedz dalszej kompromitacyi.

Począł chodzić żywo po pokoju.

— Proszę cię, panie Szmul, odezwał się po chwili nadąsany — sam powiedz, do czego to podobne? Pannie Cecylii ofiarowałem miejsce u siebie; byłaby u mnie panią domu, na niczemby jej nie zbywało; Julkowi chciałem dać miejsce u siebie w kancelaryi... Wszystko to odrzucili, i zamiast swobodnego życia, jakie przysłało rodzinie szlacheckiej, zapracowują sobie ręce koło rydlów, na śmiech ludzki, żeby ich wzięto za waryatów, a mnie za człowieka nielitosciwego, który rodzinę opuścił i dał jej do takiego przyjść poniżenia.

Pan Bolesław gniewał się na seryo.

— Coś mnie tknęło — ciągnął dalej, odwracając się do żyda — czułem po tem milczeniu, że się tu coś dziać musi, z czem się nie potrzebują chwalić... Dlatego przybyłem. i ot, co znajduję!

Załamiał ręce, stając naprzeciwko żyda, który z niewzruszonym spokojem to tabakę zażywał, to tabakierkę zakręcał, to do czynienia miał z pomarańczowym fularem, ale widocznie oburzenia pana marszałka nie dzielił wcale i trzymał się neutralnie.

— A cóż ludzie na to? — zapytał pan Bolesław — co ludzie?

— A co ludziom do tego? Pan marszałek to wie że im nigdy dogodzić niepodobna. W istocie potrosze się dziwią, więcej szydzą, a kto może przeszkadza... A no, gdzie inaczej?

— Cóż się z Mazurowiczami stało?

— Oni dawno wyjechali oboje, pogodziwszy się — odparł Szmul. — Już teraz ze sobą żyją dobrze i nie ma posłusznieszego męża nad tego Mazurowicza. Co żona każe, choćby w ogień i wodę...

— A jejmość?

— Jejmość robi co chce — mruknął Szmul. Prawdę powiedziawszy. można się tego było spodziewać. Młodych ludzi bywa dużo... no. i gadają różnie.

Splunął Szmul i wrócił do chustki.

— Ale ja jasnie panu spać nie daję — rzekł uchylając jarmułki — a to już czas, wielki czas po podróży spocząć... Więć do nóg upadam.

Marszałek byłby słuchał dłużej jeszcze, lecz gospodarz, i sam podobno potrzebujący spoczynku, wyszedł.

Nowiny które na niego spadły. do żywego poruszyły marszałka. Był najpewniejszym. że znajdzie jakiś chaos w Zawiechowie, do którego uporządkowania koniecznie będzie potrzebuym. Wziął był nawet ze sobą kilkaset rubli na wypadek... chciał się przyśłużyć Cecylii i sądził, że ją skłoni, choć teraz. do przyjęcia pierwszego projektu.

Położył się spać gniewny, w najgorszym humorze. Nazajutrz. bardzo staranną odbywszy toaletę. uperfumowany. obwieszony świecidełkami, modny, z zadowoleniem popatrzył w zwierciadło. Ponieważ słońce świeciło i dogrzewało, uzbroiwszy się w letni nankinowy parasolik. pieszo poszedł ku dworowi.

Wistocie już z lipowej ulicy pałac stary do niepoznania przedstawiał się innym. Wydawał się lżejszym. wyższym, gdy od niego stare skrzydła odpadły. Pomalowany był kamiennym kolorem. dach pokryty, dokoła nowe. bardzo proste i niekosztowne ogrodzenie, którego wzór dał ogrodnik, opasywało dziedzińce i nowe budowy. Dawne opuszczenie. nieczystość, zaśmiecenie znikły.

Marszałek stanął. zdumiony do tego stopnia, że ręce założywszy. wpatrywał się długo w pałac. nim ku niemu postąpił.

Okolo niego nie widać było nikogo. ale okna nowe. pomyte, jasne, firanki u nich, pewna elegancja czystości wytwornej, czyniły ruinę zupełnie inną. Nawet owa gipsatura z herbami. której nie tknęło jako pamiątki. pobielona, stała się zrozumiałą.

Wolnym krokiem zbliżał się pan Bolesław ku drzwiom, gdy w nich ukazała się łatwa do poznania, przysadzista. pocziwa Piotrusia. Oczy jej. które potrzebowały okularów do książki, zdawa widziały bardzo dobrze. Poznawszy marszałka, drepcząc, z otwartymi rękami wybiegła przeciw niemu.

Była-to jedyna. wierna przeszłości istota. w której się nic nie odmieniło. Ten sam ją brudny perkalkowy szlafroczek okrywał. ten sam fartuch, na którym odstępowały się wszystkie dzieje kuchenne. ten sam czepeczek z wypłowiałymi wstążkami, poślizki i pomięty.

— Jezu najśłodszy! — zawołała ręce łamiąc — pan marszałek.

Stała na jej przyjęcie. ale nie dała mu się odezwać i ręką wskazała na pałac.

— Widzi pan. widzi pan co zrobili? poznaje pan? Ot co!... Gdyby nasza nieboszczka z grobu powstała, umarłaby po raz drugi z desperacji. Ja oczy wypłakuję. Com się naprosiła. nabiłagała! Do nóg, mogę powiedzieć, padałam panience: zostawcie jak było!... Zacznie mnie ścisnąć, ukołyszcie mi ten mi owem, a swoje robi. Com ja mogła nieszczęśliwa istota? Chyba umrzeć! A że nie umarłam, gdy zaczęli oskardami

walić w te odwieczne mury. co każde uderzenie jakby mi w serce wymierzył — że nie umarłam, łaska chyba Pana Boga. Sądny dzień!... wszystko do góry nogami! Horyszkowie, panie marszałku, Horyszkowie w fartuchach, z siekierami, z piłami, z rydlami... Niech pan marszałek zobaczy pana Juhana: parobek! czysty parobek!...

I lzy zaczęła ocierać fartuchem. a usta się jej nie zamykały.

— Wstyd! ohyda! — ludziom oczów pokazać trudno. Wyjdę na miasto... kiedyś spotyka mnie horodniczyna... A co, pani Piotruska, acani słyszę u ogrodników służysz!... Żem trupem nie padła w miejscu, cud Boży! Szlachta żydków nasłała, żeby przychodzili pytać, czy my cebulę sprzedajemy, jak Boga kocham!... Panna wyszła sama. Szelma łapserdak pyta jej o cebulę — a ona mu na to — niech marszałek wierzy, sama słyszałam na własne uszy: „Na przyszły rok będziemy mieli. zobaczycie, i taką, jakiej od czasu egipskiej niewoli. nie jedliscie. Bardzo proszę i zamawiam sobie, abyście kupowali.“ Żem trupem nie padła --- dodała Piotruska — Bóg tylko ratował.

Marszałek już miał słowem pocieszajacem się odezwać. gdy ujrzał we drzwiach pannę Cecylią.

Stała w słomkowym ogromnym kapeluszu. z koczykiem na ręku. w czarnej sukience płócienkowej i czarnym fartuszk, w trzewikach grubych na nogach, niby wieśniaczka, niby przebrana księżniczka, piękniejsza, zdaje się niż kiedykolwiek, zarumieniona. z oczyma jasnymi.

Nie mogła widać zrazu marszałka mówiącego z Piotruską rozpoznać, bo rączkę w rękawiczce przy-

łożyła do kapelusza, aby się od światła zasłonić, i dopiero ujrawszy wujaszka, wybiegła naprzeciwko niemu. Widać było z jej twarzy trochę zakłopotania.

Pan Bolesław zaraz na wstępie chciał jej dać uczuć, jak go oburzała ta dziwna fantazya i z wielką grzecznością, ale sztywnie i zimno ją przywitał.

— Wie kuzynka — odezwał się — doprawdy, gdybym nie wiedział że jestem w Zawiechowie, nie poznałbym miejsca... zawahałbym się nawet z poznaniem pięknej ogrodniczki. Nie mogę wyjść z podziwienia nad zmianami jakie tu zaszły, o których nieraczyliście nawet mnie zawiadomić.

— Kochanego wuja w domu nie było — odpowiedziała Cecylia — a spodziewam się, iż po obejrzeniu naszego gospodarstwa i naszych rachunków, nasz opiekun przekona się, żeśmy jego zaufania nie zawiedli.

Mówiła to, uśmiechając się, i wprowadziła wuja do sieni pałacowej, która, równie jak cała budowa, wyglądała świeżo... Piotruska nadąsana i milcząca, poszła schować się do siebie... Zdziwiony trochę marszałek znalazł się w salonie nieboszczki starościny.

Wszystko tu było poszanowaniem, ale pokój inaczej się przedstawiał. Najwykwintniejsza panowała w nim czystość; stare mebelki były poodświeżane, a z gratów dawnych tylko fotel nieboszczki i jej podnózek, obciążnięte szarem płótnem, pozostały... W jednym kątku stało pianino Pleyela otwarte... Wszędzie pełno bukietów, a na stolikach książek... Na ścianach, oprócz dwu dawnych portretów, pozbierane z ruin, wisiały wcale piękne obrazy, w ramach, dla oszczędności, czarnych... Otwarte okna na ogród, słońce wpadające niemi, czyniły salon wesołym i

wdzięcznym... Z wielką umiejętnością stary sprzęt i skromny przybór nowy, smakownie do harmonii z nim dobrany, ułożone były w całość. która przypominała dawne czasy, a była młodą i żywą. Zdziwiony gość w pierwszej chwili nie umiał nic powiedzieć nad to, że było bardzo ładnie u nowej gospodyni.

Równie świeżo wyglądał dawny pokój sypialny starościny, w którym jeszcze więcej było książek, ogrodniczych przyborów, nasion i wazoników.

— Słyszałem, że Henryczek wyjechał—począł marszałek. nie wiedząc jak zagaic rozmowę.

— Tak jest... Gdy tylko mógł znieść podróż—odezwała się Cecylia. — Potrzeba było tego, aby się na jakiś czas oddalił; a wyszło mu to na dobre. bo ma prawdziwy zapal do nauki.

— Doprawdy! — odezwał się trochę szydersko marszałek... a do czegoż się sposobi?

— My — odezwała się Cesia — jesteśmy zmuszeni zwrócić się do tego. co może nam dać chleb i niezależność. Mamy projekt jeśli nie o własnych siłach, bo do tego daleko. to z pomocą przyjaciół założyć młyn parowy... Henryk uczy się mechaniki.

Marszałek mocno się skrzywił. Panna Cecylia dojrzała tego. trochę się uśmiechnęła i prosiła go siedzieć.

Właśnie w tej chwili nadbiegł Julek. Tego znowu ledwie mógł pan marszałek poznać. bo z leniwego pieszczołka, przy siostrze przerobił się na hożego parobczaka. Ładnie mu było w płócienną. choć do-
brze pracą zużytej odzieży, z kapeluszem słomianym i fartuchem niebieskim.

Na widok fartucha tego. pan Bolesław już się powstrzymać nie mógł, ręce załamał i padł w krzesło.

— Ale, na miłość Bożą! — krzyknął — cóż to za komedya? co za dzieciństwo? Panno Cecyljo! Julku!... Czyście zapomnieli o imieniu. o przeszłości. o rodzinie. której...

Julek się uśmiechał i chciał coś mówić, gdy siostra dała mu znak. Zasiadając przy kuzynie, podniosła śliczne swe oczy czarne na niego i odezwała się:

— Pomówmy o tem. panie marszałku. Dla mnie. dla nas. nie jest to wcale ani dzieciństwem, ani komedją... Włożyliśmy już w to pracę znaczną i kapitał. Dzięki Bogu nie idzie źle... bardzoby nam więc było przykro, gdyby kochany wuj. najbliższy nasz krewny, którego uważamy za opiekuna. inaczej się zapatrywał na to, niż my.

— Kochana kuzynko — począł popędliwie marszałek — przyznaję się. że ja na to patrzę z oburzeniem. Tak jest! Na miłość Bożą — coś się przecie winno imieniowi i przeszłości! Horyszkowie ogrodnikami!! Dlaczego? chyba dla poetycznej fantazyi... bo. pozwolicie przypomnieć sobie. że wam swój dom ofiarował i pomoc do wnijsia na drogę odpowiednią pochodzeniu naszemu. Pannie Cecylii dość było stąpić na próg mój. aby zostać panią i gospodynią... Julek byłby w kancelaryi dosłużył się urzędowej pozycyi... Henrykowi chciałem wziąć dzierżawę...

— Czy mi wolno odezwać się? — przemówiła panna Cecylia.

— Proszę... Ale ja nic nie wiem, nie rozumiem... wołał marszałek.

— Chwilkę cierpliwości. kochany wuju—rzekła Cesia. zrzucając kapelusz. rękawiczki i białemi. wcale niepopsutemi pracą rękami odgarniając bujne włosy... Przedewszystkiem szlachectwo w mem przekonaniu zależy na niepokalanem życiu, na pracy o własnej sile. W podróży za granicą starałam się uczyć i patrzeć. Zdawało mi się tedy. że najłatwiej i najpożyteczniej z tego ostatniego ziemi kawałka stworzyć zakład ogrodniczy. jakich nam braknie. Nie rozumiem dlaczego bym się miała wstydzić sprzedawać kwiaty i owoce, gdy moi pradziadowie sprzedawali żyto i pszenicę?... dlaczego by Julek miał się wstydzić rydla i siekiery. gdy pradziadowie jego dźwigali szable i rusznice? Z rozebranych murów i z pracą moją z gromadzonego grosza. przy pomocy bardzo poczciwego starego ogrodnika. w stosunkowo krótkim czasie stworzyliśmy coś, czem się już dziś pochłubić możemy.

— I kochana kuzynka — jak słyszałem, przerwał marszałek — zamówiła już sobie klientelę żydów do kupowania cebuli?

— A tak — odparła niezmiészana Cecylia. z trochę szyderskim uśmiechem — spodziewam się w roku przyszłym, oprócz holenderskiej, oprócz cebuli Suttona. pochwalić się włoską „Queen onion.“ którą i wujaszek nawet znajdzie doskonałą. Dlaczegoż bym jej poczciwym współrodakom nieoszacowanego mojego przyjaciela Szmula nie miała sprzedawać?

Marszałek dziwnie wydał usta.

— Przyznaję się — rzekł kwaśno — że ja tym nowym, postępowym pojęciom nie hołduję... Jestem zakuty, stary szlachcic, brzydzę się handlem, niekoniecz-

nie smakuję w przemyśle i sędzę, że szlachta jeszcze się nie przestarzała i ma posłannictwo swoje.

— Ja także tak sędzę — odpowiedziała skromnie Cecylia. — Zdaje mi się, że ma powołanie przodowania, bo jest lepiej od innych klas społecznych wyposażoną. Ma tradycję, ma wykształcenie. ma inteligencją. Ponieważ dla ludzkości nadeszła epoka pracy. zatem my, szlachta, i tu — przodem iść winniśmy.

— Nie rozumiem cię. kochana kuzynko — zawołał pan Bolesław. — Są prace, na które szkoda ludzi. My możemy robić coś lepszego. niż sadzić cebulę... Twój uczony ogrodnik lepiej to potrafi od ciebie, a osoba tak wykształcona, jak panna Cecylia, mogłaby właściwiej użyć talentów swych i darów umysłu...

— Kochany wuju — odparła śmiało gospoś — trochę swobody należy się choćby i najbiedniejszej istocie, a wybór pracy jest prawem, którego nikt nie może nam zaprzeczyć. Owóż siostrzenica pana marszałka popróbowowała zawodu. do którego zdało jej się zrazu, że była przeznaczoną: rozwijała główki jasnówłose... otwierała oczki niebieskie, aby prosto na świat patrzyły... Lecz niestety! na tej drodze tyle ją cierpienia spotkało, tak odboleć musiała, że stokroć dziś woli patrzeć na rozwijające się pączki kwiatów i pracować w pocie czoła. byle być swobodną. panią siebie...

— Są gusta i guściki! — dorzucił marszałek kwaśno.

Było około godziny dziesiątej.

W płóciennym spencerku wszedł, przerobiony na lokaika. ale razem i w ogrodzie czynny Andruszka, niosąc śniadanie.

Marszałek, który sobie przypominał gospodarstwo Piotruskiej i ową zbieraną drużynę fajansu, szkła

i porcelany, zdziwił się, znajdując wszystko nowe, jednakie, wprawdzie jaknajprostsze, bez żadnej pretensyi. ale czystsie i tem piękne właśnie... Śniadanie czuć już było ogrodnictwem, gdyż wszystko co do niego dać może ogród, było wytworne.

Oślaniało to jednak coraz gęstszą chmurą czoło pana marszałka.

— Nie mam już nic do powiedzenia przeciw tak silnym przekonaniom szanownej kuzynki — dodał — ale cóż Julek na to?

— Panie marszałku — przerwał, ściskając go chłopak — nigdy nie byłem tak szczęśliwy! Tak mnie to zajmuje i bawi! Stałem się zapalonym ogrodnikiem i nie oddałbym tego tytułu za... no, za nic!

— Winszuję — dokończył pan Bolesław.

— Po śniadaniu — wtrąciła niezmieszana Cesia — prosimy obejrzeć nasz zakład i nowy Zawiechów.

Wujaszek wcale na to nie odpowiedział. a Cecylia tymczasem włożyła kapelusz i przygotowywała się do przewodniczenia.

— Bez przewodnika dziśby w Zawiechowie istotnie zabłądzić przyszło — nśmiechając się. dodał marszałek. — Biedna Piotruska płacze...

— Poczciwa nasza Piotrusia pogodzi się z przeznaczeniem, gdy tylko wszystko przyjdzie do porządku — dodała Cesia. — Żał mi jej serdecznie, ale dla niej nie myślimy pozostać z założonemi rękami, a czas jest drogi.

Wyszli tylnemi drzwiami w dziedziniec i do starego ogrodu. Tu nie tknięto niczego, lecz oczyszczono ulice, posadzono kwiaty i wyglądał majestatycznie ze swemi lipami, klonami. dębami i umiejętnie pourzą-

dzanemi klombami. Ta część poświęcona była pamiętce przeszłości... Lecz tuż na lewo dawny sad, który był zdziczał. urządzać się zaczynał na nowo, Tu zastali poważnego jegomości, ubranego bardzo prosto, z oknlarami w rękę, przy fartuchu, z miną uroczystą i niemal pańską. Stary, z wygoloną zupełnie, a osobliwszym sposobem pofałdowaną twarzą, zamysłony był. jakby zatopiony w sobie i posepny. Znać było z ruchów i miny. iż świat i jego sprawy nader mało go obchodziły. Czuł się królem tam, gdzie pracował. Na ukłon marszałka wcale nie uniżenie. zlekka odpowiedział, nie zwracając nań uwagi.

Przystąpił do panny Cecylii.

— Więc tedy, pani moja — odezwał się. na resztę towarzystwa nie bacząc, jakby go tam wcale nie było — więc tedy rzecz postanowiona... Mamy mieć i conajnowsze i conajwykwintniejsze gatunki.

— Tak, kochany panie Praski—odparła gospoia — z tym tylko warunkiem, aby tych unikać. które dobrze i łatwo klimatu naszego nie znoszą.

— Ale ba!... I z klimatem też pani moja — czasem się trzeba poborykać... A mieliby Włosi pomarańcze, gdyby się tego lekali, że im one czasem pomarzną? boć to bywa. pani moja. W tym kraju — ciągnął dalej. mówiąc jakby sam do siebie — co im po tem, że *Ailanthus glandulosa* dobrze piaski zarasta, że *Crataegus* ma kwiaty ozdobne. *Magnolij* im jeszcze nie trzeba, ale dobrych jabłek i gruszek.. w tem grunt. Oni tu jeszcze z małgorzatek i sapieżanek nie wyszli. Wiele, pani moja. jest do zrobienia. aby ten kraj z dzikości wyprowadzić. Grunt Pan Bóg dał dobry. klimat znośny... byle wola i wytrwałość.

Mówił zwolna, a wyglądał, przy swej odzieży ubogiej, z tą pedagogiczną powagą, nader pocieszenie.

— Masz zupełną swobodę, panie Praski.

— Dobrze. pani moja — odparł ogrodnik — lecz chcę abys i pani wiedziała co się robi i była ze mną zgodną.

— Pan marszałek — odezwała się Cecylia do ogrodnika — zapytywał mnie o rzeczy użyteczne. Wszak prawda, kochany panie Praski, że na rok przyszły z warzywem się popiszemy?

— Z warzywem? — zawołał, podnosząc oczy ogrodnik — a no proszę... nie powstydzę się wyboru i doboru. poczynawszy od kapusty... Ludzie słupiec będą! Lubekska. magdeburska, grecka centnarowa... Z sałat Wheelers'a Tom Tumb i smakoszów zadowoli, nie mówiąc już o perpiguańskiej i fryzowanej bostońskiej...

— A cebula — podchwyciła złośliwie Cecylia.

Marszałek stal. w boki się wzięwszy, nie kryjąc złego humoru.

— Cebuli się też nie powstydzę... — rzekł Praski. — Allium cepa... ho! ho!... trzydzieści gatunków. tak jest! Teneryfską można jeść gotowaną za przysmak.. Niech tylko ludzie zdrowi kupują i jedzą, na wykwiutnych przysmakach nie zbraknie... Karafioly azyatyczne, cypryjskie. greckie, jakich dusza zapagnie!

Praski. raz zaczepiony, byłby mówił bez końca. ale gość stal jak na mękach i panna Cecylia pożegnawszy starego, poszła sama oprowadzać wuja. pokazując mu olbrzymie inspekta, ananasarnię, oranżerye i szkółki dopiero przysposobione. Wszystko to z wytwornym niemal porządkiem było utrzymane i wyglą-

dało wspaniale. Marszałek się jednak wcale nie zachwycał. Przygotowania te były mu w większej części niezrozumiałe, a npór siostrzenicy go gniewał.

— Bardzo pannie Cecylii powinszuję — rzekł w końcu, widocznie znudzony — jeżeli te wszystkie kolki wydadzą owoce i jeśli się olbrzymie wydatki powrócą, w co ja niewiele mam wiary, przyznaję się. U nas wszyscy nawykli zadawać się najprostszymi rzeczami, które od wieków są pod ręką.

— Tak, bo nic się innego nie nastręczało — dodała Cecylia.

Przeszedłszy ogród wzdłuż i wszerz, wcale nie nawrócony, a zmęczony mocno, marszałek powrócił do domu, a że Cesia na chwilę się oddaliła, mając coś do rozporządzenia, zabrawszy Julka, wszedł z nim na górę.

I tu znalazł też samą zmianę co na dole: wszystko oczyszczone, wybielone, pomalowane, a pokój Julka, który dawniej odznaczał się nieładem, z pewnym wdziękiem przybrany. Znać w tem było wpływ siostry.

Marszałek siadł, bardzo zmęczony, i popatrzył na Julka.

— Chwała Bogu! więc jesteście, jak widzę, szczęśliwi. A Henryk? odbolał-że swoją miłość? zapomniał o Mazurowiczowej?

— Zdaje mi się — odparł Julek. — Ona sama zresztą zerwała z nim, a pozawiazywała miłostki z tylu innymi, że już Henryk powinien być zupełnie rozczarowanym... Wszystko byłoby dobrze — dodał po chwili — ale z ludźmi ciężko... (tu zniżył głos). Oszczędzam Cesię jak mogę, lecz mamy wiele psot i nieprzyjemności do zniesienia. Musimy siedzieć zamknięci

bo nawet kościół nie broni nas od niegrzeczności i okazywanej nam pogardy. Cesia znosi to z anielską cierpliwością; ja się burzę, a ona mnie uśmierza. Stary Sławczyński, choć sam na stronie stoi, nie zapomniał nam urazy i szkodzi o ile tylko może. Do niego łączą się i inni. Nasze ogrodnictwo dostarcza im materiału do łatwego szyderstwa. Ha, co robić? Znieśliśmy to i przeżyjemy! Po śmierci babki, gdyśmy w kilka tygodni przyszedli z Cesią raz pierwszy do kościoła, chcieliśmy w nim dawne swe zająć miejsce... ale było one zawczasu obsadzone... W żadnej ławce się dla nas siedzenie nie znalazło... poszliśmy klęknąć przed bocznym ołtarzem... Drobnych takich ukłuć bez końca...

— Nic dziwnego, samiście się na to narazili dobrowolnie — z powagą rzekł opiekun. — Nie chcę więcej mówić o tem, ale zobaczycie... Cesia ma najlepsze chęci, chociaż więcej fantazyi niż doświadczenia. Gdy ogród was zrujnuje, wówczas dopiero przekonacie się, że miałem słusność.

Na tem zakończył marszałek.

Nastąpił obiad wcale dobry, acz niezmiernie prosty... a po obiedzie, widząc, że tu niema co robić i że napróżnoby się kusił o nawrócenie, pan Bolesław, po krótkiej rozmowie z Cesią, zabrał się do powrotu.

Chociaż nie podobało mu się postępowanie siostrzenicy, sama ona mimo to zbyt była zachwycającą, ażeby w obec niej chłodnym mógł pozostać... Usiłując ją sobie ująć, na odjeźdźnym znalazł chwilę, by jej pomoc pieniężną zaofiarować. Cesia zaramieniała się mocno, podziękowała serdecznie, ale zaręczyła, że jej nie potrzebuje.

— W tej chwili — szepnęła — byłoby to grzechem, gdybym przyjęła ofiarę. nie będąc do tego zmuszoną. Lecz... jeżeli — co być może, moje środki się wyczerpią, z ufnością udam się do wuja.

Miły uśmiech i podanie ręki ujęły pana marszałka. Począł się znówu skarżyć na swe osamotnienie, na serce, które nikomu oddać się nie mogło. choć pragnęło... przedstawił się sentymentalnym, melancholiznym, stęsknionym. Piękna Cesia obróciła to w grzeczny żart, ale zwinęła się tak ze zmianą przedmiotu rozmowy, zagadała tak czemś innem. iż w końcu nie pozostawało marszałkowi, jak tylko — odejść.

Julek go przeprowadził.

Pan Bolesław wprędce jakoś kazawszy zaprzęgać, ruszył kwaśny z Zawiechowa.

Zmiany jakie tu zaszły nie jednemu tylko marszałkowi do smaku nie przypadaly; sąsiedztwo całe kosztem ich się bawiło... Usiłowano szydzić i w żart obracać wszystko co się tu działo: ale byli i tacy. co pozazdrościli pannie Cecylii najprzód zużytkowania murów które bardzo korzystnie sprzedano, a potem urządzenia całego domu i ogrodu.

Krytykowano nadzwyczajnie czystość, którą nazywano zbytkiem, rachubę na ogród, a ciekawość była tak podbudzoną. iż ludzie nawet poważni podkradali się pod płoty, ażeby zajrzeć co tam ci Horyszkowie u siebie robili. Każda rzecz potem, wzięta na języki i przerobiona należyście, dostarczała funduszu żartownisiom.

Stara szlachta była oburzona. Sławczyński. który nigdy tak dalece nie obstawał przy czystości krwi i herbach, czego dał dowód wydając córkę za Mazuro-

wicza. pierwszy dowodził, iż Horyszkom nikt ręki porządkować nie powinien kiedy się dobrowolnie tak—jak mówił—spaskudzili.

— To mosanie, ród przepadły... z tego już nic nie będzie. Niech w błocie siedzą, w które wleźli. Szkoda tylko że na pałacu herby zostawili; powinni byli kazać namalować pietruszkę z pasternakiem i cebulą... to dziś ich godła.

I śmiał się.

Obrońcę niespodziewanego mieli w starym Puparcie. który w restauracyi, ile razy o tem mowa się wszczęła, powstawał na szlachtę. a chwalił Horyszków.

— A tak, tak, wołał wy stójcie przy swem szlachectwie dla miłości jego!... Doczekacie się tego, że ostatnią dzinurą w bucie szlacheństwo wyjdzie precz! Chcecie przodować i dowodzić — stawajcież w pierwszym rzędzie!.. Nieboszczyk stryj mój mówił, że szlachta się cofnęła. gdy zobaczyła w szeregach Głowackiego. Tem to rody przepadają. a nie robotą około ogrodu.

Ano i z Puparta się śmiano, bo go znano jako zapaleńca-demokratę.

Przybyły do obywatelstwa miejscowego nowy dziedzic klucza bobrynieckiego. hrabia Sulejowski. był drugim przedmiotem, mocno zajmującym miejscową publikę. Już naprzód. jako hrabia, szlachcie się nie podobał; powtóre, jako człowiek majątny. podszarganym był gotowym nieprzyjacielem; naostatek, jako nie tu urodzony i wychowany, nazywał się przybłądą. Ludzie skrupulatni dodawali. że się z żoną rozwiódł, co także na niego cień rzucało. Wreszcie piękna posta-

wa. dystynkcyą. zinną trochę grzeczność przybysza. nie jednały mu przyjaciół. Koso na niego patrzano. W pierwszych chwilach. po przeniesieniu się po dóbr tutejszych. hrabia miał wiele do czynienia w miasteczku. Bywał tam bardzo często: widywano go. ale ani on tak dalece z nikim. ale nikt z nim znajomości nie szukał.

Ze Sławczyńskim. spotkawszy się, przypomnieli się sobie z widzenia na poczcie. Hrabia pojechał od wiedzieć starego w Błotkowie. gdzie zastał panią de d o m o Motowidłowską, która chciała mu bardzo państwem imponować — ale domem nie był zachwycony. Zprzypa dku potracono w rozmowie o Horyszków. Stary wróg wylał się z żółcią przeciw nim, a między innemi. nie wiedząc przed kim to mówi, rzucił i tę potwarz na pannę Cecylią, że kogós bałamuciła i rozwiodła.

— Co się tyczy tego — przerwał hrabia — pozwoli pan sędzia sobie powiedzieć, że to zupełnie fałszywa pogłoska. Byłem świadkiem...

— A. zawołał sędzia—i cóż?

— Panna Horyszkówna nie tylko się nie przyczyniła do rozwodu. ale usiłowała mu zapobiedz i od tego jegomości. który jej się miłością swą naprzykrzał... uciekła. wyrzekłszy się miejsca, do domu.

— To. mości dobrodzieju, tak się mogło zdawać hrabiemu. zdaleka patrząc — odparł Sławczyński — Oho! panna diable rezolutna!.. za łby wszystkich poobrała. i wuja pana marszałka, i obu braci... Dom do góry nogami! Herod-baba!

Hrabia nie odezwał się więcej.

Nie mogło to ujść wiadomości panny Cecylii, iż Sulejowski nabył dobra w okolicy. Było rzeczą aż nadto pewną, iż uczynił to dla zbliżenia się do niej i z początku w wielkiej jakiś czas przetrwała obawie, aby nie usiłował w jakikolwiek sposób wcisnąć się do ich domu. Bardzo ostrożnie i nie zdradzając się, przestrzedz się starała Julka, aby unikał spotkania się z hrabią. Uczyniła to zręcznie. bynajmniej mu nic nie szkodząc w opinii brata, pod pozorem że stosunki z ludźmi do innych sfer majątkowych należącymi. są dla ubogich ciężarem.

Julek, ostrzeżony. a wierzący siostrze, wistocie kilka razy otarł się prawie o hrabiego, nie poznawszy się z nim osobiście. Widział go zdaleka, mówił o nim dużo Cecylii, wypytywał, ale ta go zbyła ogólnikami. Zdaje się iż Sulejowski, acz bardzo nieśmiało i ostrożnie. szukał środków. aby się zbliżyć do rodziny w Zawiechowie. Przysłano ztamtąd po Praskiego, który miał dosyć czasu, by obejrzał ogród przy rezydencji hrabiego. Spytał Cecylii o pozwolenie. którego ta odmówić nie mogła, aby starego nie pozbawić zarobku. Powróciwszy. pocziwy zrzęda opowiadał swej pani o hrabi, o dworze, o oranżeryi i ogrodach. Znalazł tam wszystko w ruinie. Miano mu dać chłopaka do nauki. Spytał więc znów o to, czy go przyjąć może, przedstawiając iż dwoje rąk daremnych nie byłoby do odrzucenia. Cecylia ani broniła. ani zalecała. Zostało to w zawieszeniu.

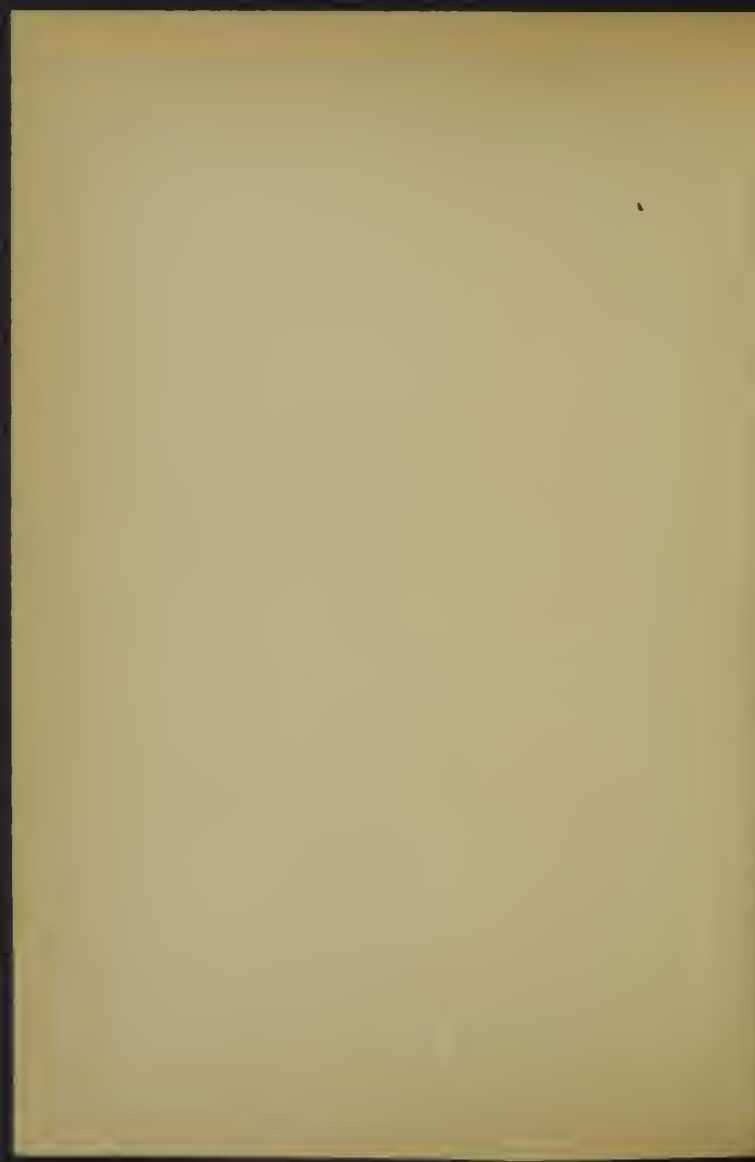
Ona i Julek. nie mając czasu i ochoty do oddalania się z domu. nie byli też narażeni na spotkanie się ani z Sulejowskim. ani z dawnymi sąsiadami i przyjaciółmi Horyszków. Kościół był jedynem miejscem.

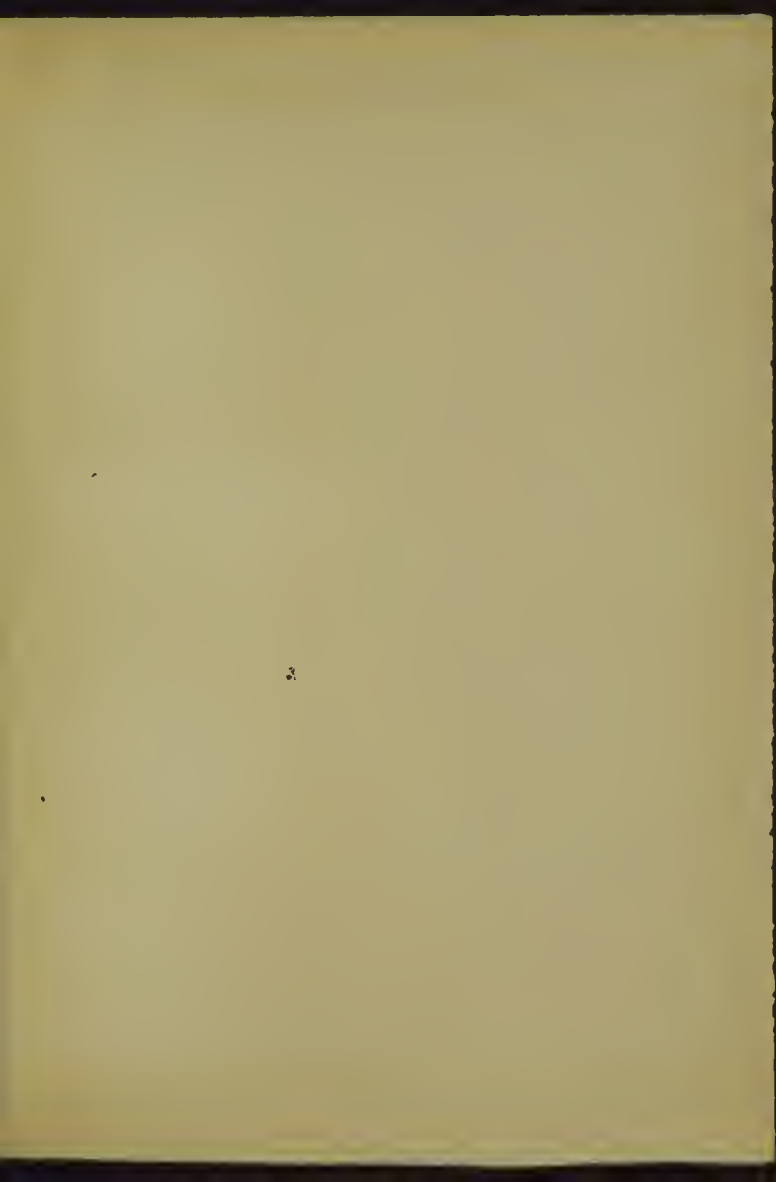
w którym ich widywano, a i tam starali się nie widzieć nikogo i być jaknajmniej na oku.

Ksiądz Kulebiaka, po śmierci starościny, jakkolwiek zawsze wielce przyjazny domowi i przywiązany do Julka, w zdaniu o tem co się działo w Zawiecho-
wie niemal się godził z pocziwą Piotrusią. Nie podo-
bały mu się innowacye, zaśmiałe, może zbyt energicz-
ne postępowanie młodej osoby. Przychodził, ale rza-
dziej, i jakoś mu tu już nie było tak raźnie, tak swo-
bodnie, jak za dawnych czasów.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.









24-
1870

Biblioteka Raczyńskich

JK 815



JK0815